

Jan Hudson
W dobrej wierze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Matt Crow ujrzał najprawdziwszego anioła. W gruncie rzeczy nie było w tym nic dziwnego, albowiem zdarzyło się to w małym kościółku w mieście Akron w stanie Ohio. Matt strzepnął niewidzialny pyłek z klapy smokingu i nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Nowiusieńkie buty zaskrzypiały ostrzegawczo. Nie zrażony tym Crow wlepił oczy w nieziemskie zjawisko. Nie widział niczego tak pięknego, od kiedy opuścił Teksas.

Przestał zwracać uwagę na tłum weselnych gości i rozbrzmiewającą wokół muzykę organową. Nie zauważył nawet panny młodej, prowadzonej do ołtarza.

Niebiańska istota, w którą tak uporczywie się wpatrywał, ubrana była w pąsową suknię. Wpadające przez witraże słoneczne światło skupiało się nad głową dziewczyny niczym złota aureola. Długie rzęsy rzucały cień na alabastrowe policzki. Spod opuszczonych nieco powiek spoglądały oczy w kolorze chabrow. Matt otworzył usta i zastygł tak na dłuższą chwilę.

Przerażona Eve Ellison kurczowo ścisnęła bukiet, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Dlaczego zgodziła się zostać druzną? Ze wszystkich sił próbowała się wykręcić od tego obowiązku, lecz jej siostra, Irish, była nieugięta.

- Eve, nie zachowuj się jak dzikuska. Już w dzieciństwie postanowiłam, że będziesz druzną na moim ślubie.

- Mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i nienawidzę słodkich sukieneczek z falbankami. Mogę upiec ciasto albo ułożyć kwiaty. Nie wymagaj ode mnie, żebym paradowała przed tłumem ludzi w kreacji żywcem przeniesionej z „Przeminęło z wiatrem”. To ty uchodziłaś zawsze za piękność, a poza tym lubisz być w centrum zainteresowania - wyrzuciła z siebie Eve jednym tchem.

Irish ujęła się pod boki i przybrała groźny wyraz twarzy.

- Eve Ellison, nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy te bzdury. Jesteś ode mnie o wiele piękniejsza.

- Jasne, ciekawe tylko, dlaczego od roku nikt nie zaprosił mnie na randkę?

- Dlatego, że wszyscy mężczyźni w Cleveland są ślepi. A mówiąc poważnie, wydaje mi się, że odstręcza ich nie tyle twój wygląd, co charakter. No i... mogłabyś coś zrobić ze swoimi włosami.

- A co z nimi jest nie w porządku? - warknęła Eve.

- Wyglądasz, jakbyś się nie czesała od tygodni, a poza tym dlaczego związujesz tę zmierzwioną szopę sznurowadłem?

- Jeszcze jakieś uwagi, siostrzyczko? - Eve hardo uniosła głowę.

- Nie malujesz się, nosisz powyciągane ciuchy. Co ty próbujesz udowodnić?

Eve niczego nie udowadniała, po prostu nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu. To Irish zawsze uchodziła za piękność, natomiast ją ceniono za zalety umysłu. Obie siostry były bardzo bystre, lecz różniło je podejście do życia. Irish interesowała się modą, sztuką makijażu i życiem towarzyskim. Eve wolala przeczytać w tym czasie książkę lub popracować w ogródku, nie przejmując się połamanymi paznokciami.

Wreszcie Irish udało się namówić siostrę na wspólny wypad do Nowego Jorku. Towarzyszył im doktor Kyle Rutledge, narzeczony Irish. Eve wróciła z tej wyprawy zupełnie odmieniona. Nowa fryzura, pomalowane paznokcie, twarzowy makijaż i szkła kontaktowe. Teraz, krocząc do ołtarza w idiotycznej sukni z falbankami, miała wrażenie, że wszyscy patrzą tylko na nią.

Gdy wreszcie odważyła się trochę unieść oczy, napotkała wlepiony w siebie wzrok. Mężczyzna przyglądał jej się wprost bezczelnie. Eve miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Odruchowo skuliła ramiona, lecz nowy stanik, niczym średniowieczne narzędzie tortur naszpikowany drutami, uniemożliwił jej przyjęcie obronnej pozycji.

Zdesperowana, uniosła głowę i odplaciła natrętowi pięknym za nadobne.

Musiała jednak przyznać, że było na co popatrzeć. Facet był wysoki, ciemnowłosy i barczysty.

To pewnie Matt Crow, kuzyn Kyle'a, pomyślała Eve.

Mrugnął do niej i dziewczyna o mały włos nie zagrała mu w odwecie na nosie. Na szczęście rozległy się pierwsze dźwięki marsza weselnego. Eve musiała wrócić do swoich obowiązków.

Matt nie mógł oderwać wzroku od druhny. Doszedł do wniosku, że musi być młodszą siostrą Irish. Za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Gdy Kyle wreszcie pocałował żonę i ceremonia miała się ku końcowi, Matt marzył tylko o jednym: by jak najszybciej znaleźć się na weselu i porozmawiać ze świeżo pozyskaną kuzynką. Z niesmakiem patrzył, jak ten cholerny szczęściarz, Flint Durham, podaje jej szarmancko ramię. Matt ścisnął boleśnie rękę stojącego tuż obok Kima Devlina i spytał rozgorączkowany:

- Jak ma na imię siostra Irish?

- Eve. Piękna z niej dziewczyna, prawda? - zauważył Kim z uśmiechem.

Matt usiłował dopchać się do panny Ellison, lecz cała grupa bohaterów ceremonii otoczona była przez natrętnych fotografów i nie było mowy o spokojnej rozmowie. Modlił się, żeby jego starszy brat, Jackson, nie zwrócił uwagi na Eve. Na szczęście był on jednak zajęty podrywaniem innej druhny, ciemnowłosej piękności o imieniu Olivia.

Jackson, przywoławszy na usta leniwy uśmiech pewnego siebie zdobywcy, objął towarzyszącą mu kobietę w pasie i

czule nachylił się do jej ucha. Olivia spojrzała na niego jak na nieokrzesanego pastucha i wycodziła przez zęby:

- Po raz ostatni powtarzam, że nie jestem zainteresowana. Jeśli natychmiast mnie nie puścisz, przetrączę ci paluchy.

Matt był szczęśliwy, że brat dostał wreszcie nauczkę. Ten szczęściarz zawsze otrzymywał wszystko, o czym tylko zamarzył. W przeciwieństwie do Marta, który jednak szybko porzucił rozmyślania na temat niesprawiedliwości losu i skupił całą swą uwagę na Eve.

Nie potrafiłby powiedzieć, czym go tak zauroczyła. Oczywiście była piękna, ale świat pełen jest pięknych kobiet. Otaczała ją aura niewinności, co sprawiało, że Matt podświadomie zapragnął chronić ją przed całym światem.

Wiedział, że ta kobieta nie jest dla niego. To było jasne jak słońce.

A jednak, gdy tak na nią patrzył, miał ochotę dosiąść najdzikszego konia, porwać Eve i uciec z nią daleko stąd.

Eve wolałaby umyć okna w całym mieście, niż pozować do tej idiotycznej fotografii. Zwłaszcza że obok stała Irish, która przyćmiewała wszystkich swoją urodą. Już kiedy były małymi dziewczynkami, ludzie zawsze szczerze dziwili się, że niepozorna Eve jest młodszą siostrą tej pięknej panny Ellison.

Na skutek takich uwag Eve przeplakała wiele nocy. Trzeba zresztą przyznać, że była trochę przewrażliwioną na swoim punkcie nastolatką.

Wiedząc, że nigdy nie dorówna siostrze urodą, postanowiła odnosić sukcesy na polu naukowym.

Była na tyle mądra, by wiedzieć, iż uroda szybko przemija, a w życiu tak naprawdę liczy się co innego: rozum, wykształcenie, wartości duchowe. Szkoda tylko, że prawdę tę znacznie łatwiej jest zaakceptować ludziom w podeszłym wieku, natomiast gdy ma się naście lat, sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Eve próbowała dyskretnie umknąć przed obiektywem, lecz Irish schwyciła ją mocno za ramię.

- No nie, nie zrobisz mi tego, muszę mieć z tobą zdjęcie!

- Na litość boską, po co ci taka fotka? Wiesz, że zawsze wychodzę na fotografiach jak potwór - broniła się Eve.

- Przestań się wygłupiać, dzikusko. Wyglądasz oszałamiająco - stwierdziła ze śmiechem Irish. - Zresztą nie tylko ja jestem tego zdania. Matt Crow już od dawna nie spuszcza z ciebie oczu.

- Bredzisz, siostrzyczko! Nie wydaje mi się, bym była w jego typie. I nie waż się nas ze sobą swatać. Jeśli mnie nie posłuchasz, rzucę na ciebie urok i wypadną ci wszystkie włosy.

W odpowiedzi Irish tylko serdecznie się roześmiała.

Zanim Matt zdołał przepchnąć się do Eve, wszyscy goście już wcisnęli się do limuzyn i odjechali na przyjęcie do hotelu. Matt krążył nerwowo po recepcji, obserwując bacznie tłum weselników.

Wreszcie zobaczył ją. Eve rozmawiała w drugim końcu pokoju z Cherokee Pete'em, dziadkiem Matta. Uśmiechnął się zwycięsko i ruszył w jej kierunku, lecz jak spod ziemi wyrosła przy nim jego rodzicielka. Zamknęła dłoń syna w żelaznym uścisku i pociągnęła go w stronę rodziców Irish.

- Dziewczyno, szkoda, że nie jestem młodszy. Wyglądasz jak anioł. - Dziadek Cherokee Pete szeroko i serdecznie się uśmiechnął. Jego pomarszczona twarz była ogorzała od słońca i wiatru.

Eve roześmiała się głośno. Starszy pan, pomimo że dobiegał osiemdziesiątki, był równie uwodzicielski jak jego wnukowie. Wysoki i szczupły, zachował młodzieńczą sylwetkę. Niemal czarne oczy i mocno zarysowane kości policzkowe wyraźnie zdradzały indiańskie pochodzenie.

- Dziękuję, panie Beamon. Pan też świetnie się prezentuje.

I była to szczerza prawda. Senior rodu mógł nadal uchodzić za przystojnego mężczyznę.

Cherokee Pete roześmiał się, słysząc ten komplement.

- Czuję się w tym smokingu jak głupek. Nie jestem przyzwyczajony do takich dziwactw, ale nie chciałem przynieść wstydu Irish. Bardzo ją lubię. Nie zwracaj się do mnie tak oficjalnie. Wszyscy mówią do mnie Cherokee Pete albo po prostu Pete.

- W porządku. Muszę się przyznać, że też czuję się trochę niepewnie w tej eleganckiej sukience. Na co dzień noszę dżinsy i bluzę. Irish opowiadała mi dużo o pana sklepie. Bardzo chciałabym go odwiedzić. Czy pan też, tak jak Kyle, rzeźbi figurki zwierząt?

- Tak. Tylko on jeden spośród wszystkich moich wnuków podtrzymuje rodzinną tradycję. Ale pewnie teraz nie będzie miał na to czasu. Jest przecież lekarzem. Mam czterech wnuków i tylko Kyle się ożenił. Smith, Jackson i Matt wciąż są do wzięcia. Wyrośli na przystojnych mężczyzn. - Pete potrząsnął dumnie głową i zmrużył leciutko oczy. - Może zainteresowałabyś się którymś z nich?

- Dziękuję, raczej nie - odpowiedziała Eve z wymuszonym uśmiechem.

- Jesteś pewna? Mam do wydania dwa miliony. Mogłabyś na tym skorzystać. Najstarszy jest Jackson. Myślę, że powinien już się ustatkować.

Eve wiedziała, że starszy pan nie ma niczego złego na myśli, może tylko bywa zbyt bezpośredni. Na jego ziemi przed wielu laty odkryto ropę naftową, w wyniku czego stał się prawdziwym bogaczem.

- Czy wnukowie wiedzą, że właśnie w tej chwili próbuje pan przehandlować ich wolność?

Pete puścił oko do Eve.

- Nie. Niech to będzie nasz mały sekret. Twój rodzice już niedługo przeprowadzają się do Teksasu. Mogłabyś skorzystać z ich przykładu. Wiesz, mam tyle pokoi, że bez trudu zmieści się jeszcze jedna osoba. Co o tym myślisz?

- Musiałabym zabrać wszystkie moje zwierzaki.

- Dużo ich masz?

- Mnóstwo. Mama mówi, że powinnam otworzyć schronisko. Są dwa koty, Charlie Chan i Pansy, koza, która ma na imię Elmer, świnia, kogut, dwie kaczki, cztery psy i...

- Może macie ochotę na szampana?

Eve odwróciła się i napotkała wlepiony w siebie wzrok Matta. Z uśmiechem podawał jej pełen wina kieliszek.

Panna Ellison przywołała na usta tajemniczy uśmiech i gorączkowo próbowała wymyślić błyskotliwą odpowiedź. Z jej ust nie wydobył się jednak żaden dźwięk, a w głowie miała całkowitą pustkę.

Matt zmarszczył brwi i ponownie zaofiarował jej kieliszek. Eve w milczeniu przyjęła trunek i natychmiast wypła spory łyk.

- Nie przeszkadzam wam? - spytał Matt.

- Próbowałem właśnie przekonać tę śliczną dziewczynę, by przyjechała do Teksasu. Będzie tam miała dużo miejsca dla swoich zwierzaków. Eve, przedstawiam ci mojego wnuka.

- Czy dziadek zdołał cię przekonać? - z widocznym zainteresowaniem zapytał Matt.

O czym on mówi? Eve gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, czego dotyczyła wcześniejsza rozmowa, jednak w tej chwili nie potrafiła na niczym się skupić. Matt najwidoczniej zauważył jej zmieszanie, ponieważ uściślił pytanie:

- Czy dałaś się namówić na przeprowadzkę do Teksasu? Moim zdaniem, to wspaniały pomysł.

- To niemożliwe - stwierdziła Eve krótko.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. - Matt jednym łykiem wypił zawartość swojego kieliszka. - Zatańczymy?

- Nie umiem tańczyć.

- Nie wierzę! Przecież anioły płyną w powietrzu. Delikatnie, lecz stanowczo wyjął kieliszek z dłoni Eve i podał go dziadkowi. Potem wziął dziewczynę w ramiona.

Poddała się urokowi chwili. Orkiestra grała walca. Już po kilku sekundach Eve i Matt sunęli po parkiecie w idealnej harmonii.

Tańczyli tak bez końca, wirując w upojnym rytmie. Eve miała wrażenie, że wypła co najmniej kilka butelek szampana.

Po chwili muzycy zaczęli grać nastrojową balladę, co Matt uznał za uśmiech losu i ze skwapliwą gorliwością przyciągnął Eve do siebie. Rozochocony, delikatnie musnął ustami jej ucho.

Spłoszona dziewczyna natychmiast go odepchnęła.

- Przestań! - szepnęła.

- O co chodzi? - zapytał Matt z miną niewiniątka.

- Nie udawaj greka.

Eve usiłowała wyśliznąć się z ramion Matta, lecz bezskutecznie. Zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się co najmniej dziwacznie. Peszyły ją zaloty mężczyzny, który w innej sytuacji na pewno nie zwróciłby na nią uwagi.

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. - Matt wydawał się szczerze zaskoczony.

Eve poczuła się jak nastolatka na randce z ekranowym idolem. Była zbyt zawstydzona, by cokolwiek Mattowi wyjaśniać. Przypuszczała, że ten przystojny milioner z Teksasu zwykł się otaczać pięknymi i inteligentnymi kobietami, a ona była przecież tylko zwyczajną, niezbyt urodziwą Eve Ellison.

Matt ponownie przyciągnął ją do siebie i lekko pocałował w policzek.

- Wydaje ci się, że jestem za szybki? Jak cię tylko zobaczyłem, wpadłem po uszy. Tak samo czułem się zeszłego lata, kiedy nasz największy byk, Gorąca Krew, kopnął mnie w... Nieważne, chciałem przez to powiedzieć, że jesteś doskonałym dziełem Stwórcy. Słusznie nadano ci na chrzcie imię naszej pramatki. Skuś mnie jabłkiem, kochanie, a będę twój na wieki. Znajdźmy jakieś ustronne miejsce. Umrę, jeśli natychmiast cię nie pocałuję.

Eve gorączkowo próbowała pozbierać myśli. Ten facet był gładki i czarujący. Znała takie typy. Doskonale wiedziała, do czego Matt zmierza, lecz nie potrafiła mu się oprzeć.

Objął ją w talii i powoli wyprowadził z sali tanecznej.

Przyśpieszony puls niemal rozsadzał skronie Eve. Niepewnie stawiała kroki, zwalając w duchu całą winę na niewygodne szpilki. Szła potulnie za Mattem jak jagnię prowadzone na rzeź.

Po chwili Matt znalazł pusty pokój, wciągnął dziewczynę do środka i natychmiast zaczął ją całować. Nie stawiała oporu.

Po pięciu minutach szaleństwa oderwał się od jej ust i ciężko dysząc, wykrzyknął:

- Dobry Boże! To było niesamowite! Wyjdiesz za mnie?

Niezwykłe pytanie sprawiło, że Eve nieco otrzeźwiała.

- Stanowczo nie! Oszalałeś?

- Być może. Dzieje się z nami coś dziwnego. Czy ty też to czujesz? To może przynajmniej pojechałabyś ze mną do Teksasu? Pomieszkalibyśmy trochę razem, poznalibyśmy się lepiej...

- Nigdzie z tobą nie pojedę.

- Dlaczego nie?

- To chyba oczywiste! Nawet cię nie znam, nic o tobie nie wiem.

- A co chciałabyś wiedzieć? Odpowiem na każde pytanie.

Ponownie nachylił się, by pocałować Eve, lecz ona odsunęła się od niego.

- Nie rób tego - ostrzegła.

- Myślałem, że ci się podobało.

- To byłeś w błędzie.

- Czyżby?

Eve często słyszała o „zabójczym uśmiechu”, lecz aż do dzisiaj nie rozumiała tego pojęcia. Nigdy w życiu nie miała do czynienia z mężczyzną pokroju tego zwariowanego kowboja. I może dlatego znów pozwoliła mu się pocałować.

Gdy rozległ się natrętny dzwonek, Eve drgnęła, a Matt zaklął cicho.

- Cholerny telefon! Przepraszam, złotko. To chyba coś pilnego. - Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. - O co chodzi? - Przez minutę uważnie słuchał rozmówcy, od czasu do czasu siarczyście przeklinając. - Już jadę! - zakończył rozmowę. - Muszę natychmiast wracać. Pojeżdż ze mną - zwrócił się do Eve.

- To niemożliwe! Nie mogę tak po prostu wszystkiego rzucić. Mam swoją pracę i zobowiązania.

- Zwolnij się, w ogóle nie musisz pracować. Mam dość pieniędzy i zaopiekuję się tobą.

- Zaopiekujesz się... - Eve zeszywniała. Poczowała się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę kubel zimnej wody. Za kogo ją ten prostak bierze? - Nie ma mowy! - zakończyła z naciskiem.

- Dlaczego? Zasięgnąłem języka i wiem, że nie jesteś mężatką i nie masz narzeczonego. A więc co stoi na przeszkodzie? Masz kogoś?

Nagle Eve znalazła proste wyjście z niezręcznej sytuacji. Zacisnęła mocno kciuki na szczęście i wypaliła:

- Tak, jest ktoś w moim życiu. Nazywa się Charlie.

- Rzuć go w diabły! Nie może być dla ciebie zbyt ważny, skoro pozwoliłaś mi się pocałować.

- I znów jesteś w błędzie. Uwielbiam Charliego. Mieszkamy razem już dwa lata.

Eve była dumna ze swego podstępu.

Matt milczał przez chwilę ze wzrokiem wbitym w podłogę. Gdy wreszcie podniósł oczy, Eve mogłaby przysiąc, że zobaczyła w nich łzy. Była jednak na tyle rozsądna, by uznać to za wytwór swojej wybujałej wyobraźni.

- Rozumiem. Przez chwilę miałem nadzieję, że wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Zazdroszczę Charliemu. Do widzenia, aniele. Czy możesz wszystkich pożegnać w moim imieniu? Mam bardzo ważne sprawy i muszę natychmiast jechać. - Matt delikatnie pocałował Eve w czoło.

Bojąc się, że zawiedzie ją głos, Eve tylko skinęła głową. Była bardzo dumna, że tak gładko wybrnęła z oparów. Matt Crow nie był mężczyzną dla niej. Być może bardziej pasowałby do Irish, pewnej siebie supermodelki, która zrobiła karierę w Nowym Jorku. Lecz Eve powinna wystrzegać się związków z takimi facetami. Potem długo musiałaby leczyć rany.

ROZDZIAŁ DRUGI

Eve weszła do mieszkania, obładowana zakupami. W zębach trzymała plik nadesłanych kopert. W wielkiej torbie miała pieczywo, owoce, warzywa, jajka i pięć kilogramowych puszek z pokarmem dla kotów. Z ramienia zwisała jej wypchana papierami aktówka. Kopnięciem zamknęła drzwi i właśnie w tym momencie rozległ się dzwonek telefonu.

Torba z zakupami zaczęła się niebezpiecznie przechylać. Pamiętając o tym, że na samym wierzchu są jajka, Eve ze wszystkich sił starała się zapobiec katastrofie.

Na próżno. Udało jej się uratować tylko chleb. Reszta produktów z hukiem rozsypała się po podłodze, tworząc oryginalną kolorystycznie mozaikę.

Telefon wciąż dzwonił.

Eve westchnęła z rezygnacją, podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Kto tam? - warknęła niewyraźnie.

- Czy to Eve Ellison? - odezwał się męski głos. Eve wypuściła z zębów koperty i oznajmiła stanowczo:

- Tak, to ja, ale nie chcę wstąpić do żadnego towarzystwa ubezpieczeniowego, miejsce na cmentarzu mam już wykupione...

- Aniele, ależ to ja! Matt Crow.

- Matt Crow? - Eve ze zdziwienia upuściła na ziemię trzymany w dłoni chleb.

- Poznaliśmy się tydzień temu na weselu twojej siostry. Chyba mnie pamiętasz?

Jak mogłaby go zapomnieć! Od kilku dni myślała tylko o nim.

- Oczywiście, że cię pamiętam. - Eve starała się, by jej głos brzmiał naturalnie. - Przepraszam cię, ale miałam okropny dzień.

- Jakież kłopoty?

- Mnóstwo.

- Może chciałabyś mi o nich opowiedzieć?

Matt mówił tak łagodnym tonem, że Eve w pierwszym odruchu miała szczerą ochotę trochę się przed nim poużalać. Ograniczyła się jednak tylko do stwierdzenia:

- Nie chcę ci zawracać głowy swoimi problemami.

- Eve, co się dzieje?

- Może ty mi wytłumaczysz mojego pecha. - Spróbowała się roześmiać, ale z jej gardła wydobył się tylko zduszony i nieszczerzy chichot. - Wpadłam w poślizg i skosiłam dwa pojemniki na śmieci, zanim udało mi się zatrzymać samochód. Wczoraj otrzymałam pismo z Miejskiego Urzędu Weterynaryjnego, że naruszam zasady współżycia społecznego, ponieważ trzymam w domu za dużo zwierzaków. Myślę, że to z powodu Elmera i Minerwy. Elmer obzarł gruszę mojego sąsiada, który...

- Chwileczkę! - Matt z trudem powstrzymywał się od śmiechu. - Kim są Elmer i Minerwa?

- Elmer to koza, a Minerwa to moja świnka.

- Hodujesz takie zwierzaki w mieście?

Eve ciężko westchnęła.

- Próbowałam znaleźć im jakieś dobre miejsca. Może wziąłbyś kozę?

- Ja mieszkam w wieżowcu, ale mogę zapytać dziadka Pete'a.

- Dziękuję, ale to i tak nie rozwiąże moich problemów. Powinnam chyba poszukać innego mieszkania.

- Przeprowadź się do Teksasu. Moja oferta nadal jest aktualna.

Eve zrobiło się gorąco. Matt najwyraźniej znów się z nią przekomarzał, a ona nie bardzo wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć. Nie potrafiła na oczekaniu wymyślić ciętej riposty.

- Eve, jesteś tam? - Matta najwyraźniej zaniepokoiła przedłużająca się cisza.

- Tak, starałam się sobie wyobrazić moje zwierzaki w twoim salonie. Powinnam być tym wszystkim wykończona, ale po spotkaniu z Godzillą wprost rozsadza mnie wściekłość.

- Godzilla to też jakiś zwierzak?

- To mój nowy szef. Awansowali go na dyrektora kreatywnego, choć od dziesięciu lat nie stworzył niczego godnego uwagi. Dostał tę posadę tylko dlatego, że przez lata pracował w bardzo dobrej agencji. Ciężko harowałam, żeby dostać awans, lecz ten bubek sprzątnął mi śmietankę sprzed nosa. Przepraszam, nie miałam zamiaru uzalać się nad sobą, a teraz zanudzam cię na śmierć.

- Nic podobnego! Uwielbiam z tobą rozmawiać. Słuchaj, za kilka dni będę w Cleveland. Pomyślałem sobie, że skoro teraz jesteśmy spowinowaceni, moglibyśmy razem wyskoczyć na kolację.

Eve zalała falą paniki. Miała ochotę spotkać się z Mattem, lecz nie chciała, by do czegoś między nimi doszło. Dostawała gęziej skórki na samą myśl o tym, że stałaby się obiektem plotek wszystkich krewnych i kuzynów, jak to już nieraz bywało.

Po prostu powiedz mu, że nie masz czasu, przekonywała samą siebie.

- Czy chodzi o Charliego? - zaniepokoił się Matt.

- O kogo? - Eve szczęśliwie przypomniała sobie swoje niedawne kłamstwo. - Tak, nie wiem, czy pozwoli mi wyjść. Jest potwornie zazdrosny i zaborczy. Dziękuję, że zadzwoniłeś, ale muszę już kończyć rozmowę. Chyba przelała mi się woda w wannie.

Eve szybko odłożyła słuchawkę i opadła na krzesło.

Charlie Chan, wybuchowa mieszanka kota syjamskiego i dachowca, był niepodzielnym władcą domu. Teraz właśnie

wskoczył na stół i patrzył na Eve wyczekująco i oskarżycielsko zarazem.

Dziewczyna natychmiast podrapała go za uszami.

- Cześć, stary! Jak ci minął dzień? Mój był fatalny. Jak sądzisz, czy Matt Crow uważa mnie za wariatkę?

Kocur potrząsnął zdecydowanie łebkiem i przeraźliwie miauknął.

- Tak, to pewne jak dwa razy dwa. Absolutnie nie powinnam się z nim spotykać. To byłoby bardzo nierozsądne i mogłoby mi złamać serce. A wtedy dowiedziałyby się o tym Irish, a potem Kyle, rodzice i cała reszta. Nie ma co, Charlie, podjęłam słuszną decyzję.

Ale skoro tak, to dlaczego miała ochotę się rozpłakać?

Gdy ponownie włączyła się sekretarka automatyczna, Matt zaklął brzydko i cisnął słuchawką. Od trzech dni usiłował się dodzwonić do Eve.

Próbował przekonać samego siebie, że skoro Eve nie jest wolna, powinien trzymać się od niej z daleka. Niestety, mimo usilnych starań, nie mógł przestać o niej myśleć. Nawiedzała go w snach, zawładnęła jego wyobraźnią.

Żadna ze znanych mu kobiet nie mogła się z nią równać. Eve była piękna, lecz zdawała się o tym nie wiedzieć. Cechowała ją skromność, delikatność i subtelna nieśmiałość. Jej wewnętrzna uroda była wprost zniewalająca.

Do diabła z Charliem, pomyślał. Życie to walka. Matt postanowił przegonić rywala na cztery wiatry.

Podświadomie czuł, że Eve nie jest zbyt mocno zaangażowana w związek z Charliem. A to pozwalało snuć śmiałe plany na przyszłość.

Zacisnął palce na słuchawce. Był przekonany, że podczas ostatniej rozmowy telefonicznej Eve nie była z nim do końca szczerą. Wyczuł w jej tonie zdenerwowanie i obawę. Czyżby

Charlie podsłuchiwał? Może właśnie dlatego Eve nie podnosiła teraz słuchawki.

Powiedziała mu przecież, że Charlie jest nadzwyczaj zazdrosny i zaborczy. Być może był też w stosunku do niej grubiański. Matt zacisnął pięści w bezsilnej złości. Jeśli ten bydlak ruszy choć jeden włos na głowie Eve, Matt zrobi z tym porządek. Postanowił natychmiast działać. Zmarszczył czoło i zaczął obmyślać swój wielki plan.

Eve nastawiła wodę na makaron i odsłuchiwała nagrane na sekretarkę wiadomości. Pierwsza była od rodziców, którzy właśnie wrócili z Teksasu.

- U Pete'a było cudownie - mówiła pani Ellison. - Podjęliśmy ostateczną decyzję w sprawie przeprowadzki. Oddzwoń, a opowiem ci wszystko szczegółowo.

Eve ciężko westchnęła. Choć nie odwiedzała mieszkających w Akron rodziców częściej niż raz w miesiącu, to zawsze dotąd mogła liczyć na ich pomoc. Mama wpadała z pysznym ciastem czekoladowym i chętnie zostawała na gospodarstwie ze wszystkimi zwierzakami, gdy Eve musiała na dłużej wyjechać. Po przeprowadzce rodziców do Teksasu będzie zdana tylko na siebie.

Najpierw Irish, a teraz jeszcze i oni! Wszyscy pędzili na złamanie karku do tego cholernego Teksasu. To chyba jakaś epidemia!

Następna wiadomość była od Lottie Abrams, właścicielki firmy specjalizującej się w rekrutacji wysokiej klasy specjalistów.

- Eve, oddzwoń do mnie natychmiast. Jest tobą zainteresowana pewna prężna agencja w Dallas. Chcą ci zaproponować stanowisko dyrektora kreatywnego z pensją dwukrotnie wyższą od obecnej. To może być twoja życiowa szansa.

Dallas? Czyżby to była ta wielka wioska w Teksasie?

Serce podeszło jej do gardła. W Dallas mieszka przecież Matt Crow.

Wciąż nie mogła przestać myśleć o tym facecie. Nic dziwnego, skoro tuż po ich telefonicznej rozmowie przysłał jej olbrzymi bukiet żółtych róż. Przez trzy dni nagrywał się na sekretarce. Jego prośby o kontakt stawały się coraz bardziej natarczywe. Eve konsekwentnie ignorowała jego zaloty, co najwyraźniej odniosło skutek, ponieważ telefony ustały.

Szczerze mówiąc, była tym nieco zawiedziona.

Dość tego, czas pogodzić się z myślą, że Matt Crow nie jest mężczyzną dla niej.

Ale w Dallas będą mieszkały wszystkie najbliższe jej osoby: Irish i rodzice. A Bóg świadkiem, że Eve bardzo chciała zmienić pracę.

Zajmowała stanowisko dyrektora artystycznego i miała na swoim koncie kilka sukcesów, lecz jej firma pomału chyliła się ku upadkowi. Eve miała kilka dobrych pomysłów, jak wybrnąć z tej sytuacji, ale nikt jej nie słuchał. Stało się jasne, że jej kariera utknęła w martwym punkcie.

A teraz proponowano jej wymarzone stanowisko i świetne zarobki.

Cóż za cudowny zbieg okoliczności! A może...

Zaraz, zaraz... Eve przywołała się do porządku. To wszystko było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Chyba że jest w tym jakiś haczyk. Lottie miała zwyczaj przedstawiać wszystko w zbyt różowych kolorach.

Eve przemyślała całą sprawę i po chwili podjęła decyzję. Cóż szkodzi dowiedzieć się, jak jest naprawdę. Na wszelki wypadek na razie nikomu nic nie powie. Miała ochotę zacisnąć kciuki, lecz zamiast tego sięgnęła po słuchawkę.

Dwa dni później była już w Dallas. Nie żałowała swojej decyzji. Firma Coleman - Walker powoli zyskiwała renomę i rokowała wielkie nadzieje na przyszłość. W samolocie Eve

zapoznała się z materiałami na ten temat i była naprawdę pod wrażeniem.

Rzeczywistość okazała się jeszcze lepsza. Eve zakochała się w firmie z chwilą, gdy weszła do jej siedziby, mieszczącej się w wyremontowanej fabryce. To miejsce było pełne życia, wprost emanowało twórczą energią. Mijali ją pełni entuzjazmu młodzi ludzie. Po korytarzu przemykali gońcy na rolkach. Eve roześmiała się w duchu. Szkoda, że u nich w firmie nikt nie wpadł na taki pomysł. Godzillę na pewno trafiłby szlag.

Spodobał się jej również Bart Coleman, który rozmawiał z nią ponad godzinę.

Gdy po raz kolejny podkreślił, że bardzo mu zależy na współpracy z Eve, miała ochotę rzucić mu się w ramiona i serdecznie go wycałować. Zachowała jednak kamienną twarz i obiecała oddzwonić.

Dopiero gdy wyszła z budynku, dała upust swej radości. Odrzuciła do tyłu głowę i krzyknęła na całe gardło:

- Juhuuu!

Kilku przechodniów spojrzało na nią ze zdziwieniem, jednak Eve nie zwróciła na to uwagi. Zazwyczaj nieśmiała, teraz zachowywała się z niczym nie skrepowaną swobodą. Zignorowała znaczące spojrzenia gapiów i zawirowała w zwycięskim tańcu.

Wreszcie szczęście uśmiechnęło się również do niej. Jeśli jeszcze uda jej się wynająć podmiejski domek z dużym ogrodem, uzna, że Teksas jest jej sądzony.

Znalazła małą farmę z uroczym domkiem. Wokół rosły potężne drzewa orzechowe, ocieniające dom, oborę, kurnik i stajnię. Starszy pan, który był właścicielem tego gospodarstwa, zamieszkał w pensjonacie. Jego syn zgodził się sprzedać posiadłość za bezcen pod warunkiem, że Eve przyjmie wszystko z dobrodziejstwem inwentarza. Chodziło o

zapewnienie „łaskawego chleba” mułowi i starej krowie. Ich wypasem zajmował się mieszkający w pobliżu nastolatek, który zgodził się za małą opłatą pomagać Eve.

Przyjęła te warunki bez mrugnięcia okiem. Dwa zwierzaki więcej nie stanowiły różnicy. Budynek mieszkalny był nieco zniszczony, ale nie wymagał generalnego remontu. Natomiast pomieszczenia gospodarcze były w doskonałym stanie. To szczęśliwy zbieg okoliczności, bo Eve zawsze pragnęła mieć konia.

Jednak życie nie jest takie złe. Eve zadzwoniła z lotniska do Barta Colemana. Zgodziła się na jego ofertę pod jednym warunkiem: potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej przewieźć wszystkie zwierzaki do Teksasu.

Matt Crow siedział w wielkim, skórzanym fotelu. Jedną nogę trzymał na blacie olbrzymiego biurka, które było ozdobą jego gabinetu. Skracał sobie czas formowaniem olbrzymich kul z papieru. W wolnych chwilach wlepił wzrok w oprawioną fotografię swojego anioła. Kupił to zdjęcie od obecnego na weselu fotografa.

Czy ten cholerny telefon nigdy nie zadzwoni?

Następna papierowa kula poszybowała wprost do kosza. Matt miał nerwy napięte jak postronki. Był pewien, że nie zniesie dłużej tego oczekiwania.

Gdy wreszcie telefon zadzwonił, gorączkowo sięgnął po słuchawkę.

- Załatwione. - W słuchawce rozległ się głos Barta.

- Zgodziła się? - Matt nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Tak, mamy nowego dyrektora kreatywnego. Zaczyna pracę od piętnastego.

- A więc zlecenie od Crow Airlines masz w kieszeni. Ale pamiętaj, jeśli...

Bart przerwał mu ze śmiechem:

- Jeśli ona kiedykolwiek o tym się dowie, to już wkrótce moje kości porośnie mech.

- Masz to jak w banku. I nie zapomnij, że również nikt z rodziny nie ma prawa się o tym dowiedzieć. Nawet Jackson.

- Bez obaw, stary! To zostanie między nami. A tak przy okazji, jestem naprawdę pod wrażeniem. To wspaniała dziewczyna i świetny fachowiec. Na pewno sobie poradzi, a jeśli nie...

- Wiem, wiem - przerwał mu Matt. W jego głosie brzmiała niepohamowana niecierpliwość. - Mówiłeś, że zaczyna za dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Urzędziłaś się już? - spytał Bart Coleman, gdy Eve weszła do jego biura.

Pod pachą dźwiżyła stertę projektów, złożonych przez osoby ubiegające się o pracę w firmie.

- Prawie. Wybrałam kilka niezłych prac. Jesteś pewien, że potrzebujemy tylko trzech nowych pracowników? - Eve położyła papiery na biurku i usiadła naprzeciwko Barta.

- Na razie tak. Bryan Belo, Sam Marcus i Nancy Brazil pracują nad pewnym projektem, który będziesz nadzorować. Nie poznałaś chyba jeszcze Bryana, bo wyjechał z miasta. Przedstawię was sobie później.

- Świetnie. Poznałam już Nancy i Sama. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy wspólnie pracować. Opowiedz mi coś o tym projekcie. Podobno chodzi o jakąś zwariowaną linię lotniczą. Nie wiem, jak można przekonać klientów, żeby korzystali z usług przedsiębiorstwa o takiej reputacji.

Bart roześmiał się głośno.

- Bez obaw. Crow Airlines to mała firma, lecz cieszy się dużym zaufaniem. Po prostu lubują się w oryginalnych uniformach i wyróżniają się trochę nietypowym podejściem do pasażerów.

- Crow Airlines? - wyjąkała Eve z trudem.

- Tak. Pewnie nigdy o nich nie słyszałaś, ale to zlecenie to dla nas duża sprawa. Jeśli będą z nas zadowoleni, zarobimy mnóstwo pieniędzy.

Podczas gdy Bart wydawał się niezwykle podniecony, Eve z trudem zbierała myśli.

- To kto jest naszym klientem?

- Chyba już mówiłem, że Crow Airlines.

- No tak, ale kto reprezentuje firmę?

Eve modliła się w duchu, by nie chodziło o żadnego z kuzynów Kyle'a. Nie zniosłaby myśli, że dostała tę wspaniałą posadę tylko dlatego, że jest siostrą Irish.

- Będziesz kontaktować się z samym właścicielem. To wspaniały facet. Poznaliśmy się jeszcze na studiach. - Bart zerknął na zegarek. - Jesteśmy umówieni z nim na lunch.

Bart zerwał się zza biurka i ruszył w stronę drzwi. Eve zmusiła się, by ruszyć za nim. Po chwili zatrzymała się i spytała z wahaniem:

- Czy właścicielem tych linii lotniczych nie jest przypadkiem Jackson Crow?

- Nie - odpowiedział Bart, ku wyraźnej uldze Eve. - Firma należy do młodszego z braci Crow, Matta. To świetny facet i na pewno go polubisz.

- Ja go znam - odpowiedziała Eve drżącym głosem.

- Naprawdę? To fantastycznie.

- Jest kuzynem mojego szwagra. - Eve zerknęła niepewnie na szefa.

- Serio? To wspaniale! Muszę natychmiast powiedzieć o tym wspólnikowi. Gene Walker na pewno bardzo się ucieszy. Chodźmy do niego.

- Chwileczkę! Muszę cię o coś zapytać. Czy wiedziałeś o tym, zanim przyjąłeś mnie do pracy?

Bart zamarł na chwilę, a potem powiedział z naciskiem:

- Nie miałem o tym zielonego pojęcia, a zresztą i tak nie miałyby to dla mnie znaczenia. Dostałaś tę pracę, bo jesteś dobra w swoim zawodzie. A tak przy okazji, kim jest twoja siostra? Chyba jej nie poznałem.

- Irish była kiedyś znaną modelką. Po ślubie z doktorem Kyle'em Rutledge'em zamieszkała w Dallas. Kyle i Matt są kuzynami.

- Teraz sobie przypominam, że często widywałem zdjęcia twojej siostry w czasopismach. To piękna kobieta. - Bart przez

chwilę uważnie przyglądał się Eve. - Jesteście do siebie bardzo podobne. A ty nie myślałaś nigdy o karierze modelki?

- Ja?! - Eve prychnęła. - Chyba żartujesz. Irish miała urodę, a ja mózg.

- Nie brakuje ci ani jednego, ani drugiego. Chodź, musimy się spotkać z naszym klientem. Ale będzie zaskoczony!

Matt był nieprzytomny ze zdenerwowania. Zdążył oberwać wszystkie płatki z malutkich stokrotek, które ustawiono w wazoniku na stole. Ułożył kilka budynków z kostek cukru i wypił dwie margarity. Właśnie miał zamówić trzecią, gdy zobaczył Eve.

Wyglądała cudownie. Nie mógł oderwać wzroku od tego niebiańskiego zjawiska, które w swej łaskawości zstąpiło między zwykłych śmiertelników.

Nie wiedział, czy to z powodu wypitego alkoholu, czy też z powodu zdenerwowania, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Serce waliło jak młotem i pociły mu się dłonie. Niepewnie podniósł się z krzesła.

- Uspokój się, Crow! Musisz to dobrze rozegrać - mruknął do siebie, wyciągnął dłoń na powitanie i nonszalanckim tonem powiedział: - Bart, Gene, miło was widzieć. A ta piękna pani to zapewne Eve?

- Eve Ellison będzie prowadziła waszą kampanię. Podobno jej siostra wyszła za mąż za twojego kuzyna - dodał Bart.

- Zgadza się - stwierdził krótko Matt, ujmując wreszcie dłoń Eve. - Poznaliśmy się na ślubie. Co za miła niespodzianka. Nie wiedziałem, że przeprowadziłaś się do Dallas. Przedtem mieszkałaś chyba w Pittsburghu.

- W Cleveland - poprawiła go Eve.

- A co słyszeć u George'a?

- U kogo?

- U twojego faceta.

- Masz na myśli Charliego.

- Słusznie! Przepraszam za pomyłkę.
- U niego wszystko w porządku.
- Czy przeprowadził się razem z tobą do Dallas?

Eve pokiwała głową bez słowa.

Matt zacisnął zęby, by powstrzymać cisnące mu się na usta przekleństwo.

- Czego się napijecie? - zapytał z kamienną twarzą. - Ja zamówię następną margaritę. - Skinął ręką na kelnera.

A więc jednak przywlokła tu ze sobą tę żalostną kreaturę. Mniejsza z tym. Matt był zdecydowany walczyć o Eve bez względu na wszelkie przeszkody. A gdy już raz coś postanowił, to dążył uparcie do celu. Zawsze!

Dziadek Pete często mawiał, że Matt przypomina atakującego teriera: gdy już coś chwyci w swoje zęby, to prędzej umrze, niż pozwoli się wymknąć zdobyczy. Było w tym dużo prawdy. Przez całe życie Matt był zafascynowany samolotami i lataniem. Bardzo chciał zostać pilotem, jednak wada wzroku uniemożliwiła mu uzyskanie licencji. Gdy dostał od dziadka swój milion, natychmiast poszedł do kliniki, która specjalizowała się w zabiegach laserowych. Zrealizował marzenia i nauczył się latać, choć utrzymywał to w głębokiej tajemnicy, zwłaszcza przed matką.

Podczas lunchu Matt starał się mówić wyłącznie o sprawach zawodowych, lecz nie mógł oderwać oczu od Eve. Gdy przyłapała go na tym, gwałtownie się zaczerwieniła i ze zdwojoną energią wbiła widelec w sałatkę.

Matt uśmiechnął się z satysfakcją. Co tam jakiś Charlie! Pozbycie się tego faceta to będzie bułka z masłem.

Pilnuj się, aniołku, bo nadchodzi twoje przeznaczenie. Dodawszy sobie w ten sposób otuchy, Matt wyprostował się na krześle i spojrzał z uśmiechem na Eve.

Prawdopodobnie jedzenie było wspaniałe, tak przynajmniej twierdzili Bart i Gene. Jednak Eve bezmyślnie

przeżuwała kolejne kęsy, nie czując smaku ani zapachu potraw. Nagle zaczęła się bardzo martwić swoim wyglądem.

Nie była w stanie przypomnieć sobie, czy umyła włosy i umalowała usta. Purpurowy żakiet, który miała na sobie, już dawno został uznany przez Irish za niemodny i mało twarzowy. Dodatkowo jeszcze dręczyła ją obawa, że jeden z jej psów, a konkretnie Gomez, nieco nadszarpnął zębami lewą nogawkę jej spodni, dlatego na wszelki wypadek trzymała nogi pod stołem. Zarzuciła pomysł pozbycia się obrzydliwego żakietu, ponieważ na bluzce były ślady brudnych psich łap.

Chyba niepotrzebnie tak się przejmowała, ponieważ Matt Crow najwyraźniej nie był nią zainteresowany. Przecież z trudem ją nawet rozpoznał. Niestety, ona wciąż pamiętała jego twarz, głos i słodkie pocałunki. Rzeczywistość okazała się równie wspaniała jak wspomnienia. Matt promieniował czarem i urodą, wobec których Eve nie mogła pozostać obojętna.

Gdy puścił do niej oko, zrozumiała, że doskonale zdaje sobie sprawę z jej uczuć. Powinna bardziej panować nad emocjami, bo inaczej nici ze wspólnej pracy. Nie wiadomo, jak długo uda jej się odgrywać chłodną profesjonalistkę. Już teraz miała ochotę rzucić mu się w ramiona z okrzykiem: "Bierz mnie, jestem twoja!".

Dzięki Bogu Matt Crow był prezesem dużej firmy, a to oznaczało, że nie będzie miał czasu, by osobiście nadzorować wszystkie fazy kampanii. Zapewne Eve będzie pracować z jednym z jego zastępców. Całe szczęście, bo w przeciwnym wypadku zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę i przyniosła wstyd rodzinie.

Matt, jakby odgadując myśli Eve, zwrócił się do niej:

- Mam zamiar osobiście nadzorować projekt. Proponuję, byśmy omówili pewne szczegóły dziś wieczorem przy kolacji.

- Dziś wieczorem? - W głosie Eve zabrzmiała panika. Szukając pomocy, błagalnie spojrzała na Barta i Gene'a, lecz oni tylko uśmiechali się wyczekująco.

- Tak - stwierdził rozbawiony Matt. - Będę czekał na ciebie przed biurem. Najpierw wstąpimy gdzieś na drinka.

- Ale... moje zwierzaki.

- Ja też kocham zwierzęta. O której mam po ciebie przyjechać?

- Muszę najpierw wstąpić do domu i nakarmić cały inwentarz. Zwierzaki nie przyzwyczyły się jeszcze do nowego miejsca i są trochę niespokojne. Na przykład Gomeza musiałam zamknąć w oborze, bo rzucał się na krowę sąsiada.

- A kto to jest Gomez?

- To mój pies, mieszaniec setera irlandzkiego i labradora. Potrafi zrobić podkop pod każdym płotem.

Matt roześmiał się.

- Miałem kiedyś podobnego psa. Doprowadzał moją matkę do szaleństwa. Czy Charlie nie mógłby się zająć całym inwentarzem?

- W żadnym wypadku.

- Wiesz co, zrobimy inaczej. Kupię jedzenie na wynos i wpadnę do ciebie. Daj mi swój adres.

- Mieszkam poza miastem. Nie ma sensu, byś tak daleko jechał.

- Uwielbiam długie przejażdżki. - Matt ponownie się uśmiechnął. - Powiedz mi tylko, jak do ciebie trafić.

Nie znajdując w swoim znękanym umyśle kolejnych wykrętów, Eve posłusznie udzieliła Mattowi wskazówek.

- A co lubi Charlie? Muszę wiedzieć, co dla niego kupić.

Eve zaniemówiła na chwilę. Stało się jasne, że Matt już wkrótce odkryje jej kłamstwo.

- Ryby, Charlie uwielbia ryby - szepnęła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ciężkie krople deszczu wściekle bębniły o szyby. Eve pochyliła się do przodu, usiłując dojrzeć drogę. Wyszła z biura odpowiednio wcześniej, by zdążyć nakarmić zwierzaki i odświeżyć się przed wizytą Matta. Nie mogła jednak przewidzieć tego, że groźny wypadek spowoduje korki w całym mieście. Jakby tego było mało, w Dallas szalała prawdziwa nawałnica. Samochody na autostradzie poruszały się w żółwym tempie.

By zdążyć na spotkanie z Mattem, powinna dotrzeć na swoją farmę za piętnaście minut. Było to jednak marzenie ściętej głowy. Ścisnęła mocniej kierownicę i zapatrzyła się w długą, zdającą się nie mieć końca linię czerwonych światełek. Ze zdenerwowania zaczęło ją ścisnąć w żołądku. Zwierzęta na pewno są już potwornie głodne.

Najbardziej martwiła się o starego, na wpół ślepego muła Samotnika i krowę Sukie, którą powinna jak najszybciej wydoić. Zostawiła je na podwórku, bo w oborze musiała zamknąć zdenerwowanego Gomeza.

Eve włączyła radio, licząc na to, że muzyka ukoi jej skołatane nerwy.

Złudne nadzieje!

Po jakimś czasie, który wydał się wiecznością, udało jej się wreszcie wyjechać z Dallas. Natychmiast wcisnęła mocniej pedał gazu.

Już po kilku minutach skręcała na podjazd przed domem. Światła jej wozu wyłoniły z mroku sylwetkę czarnego samochodu sportowego.

- Cholera, już tu jest! - jęknęła.

Gdy tylko otworzyła drzwiczki samochodu, natychmiast pojawił się przy niej Matt, trzymając w dłoni olbrzymi parasol.

- Pewnie utknęłaś w korku? - spytał z uśmiechem.

- Tak, bardzo cię przepraszam, ale muszę zająć się zwierzętami. Chyba przełożymy to spotkanie na kiedy indziej.

Nie czekając na jego odpowiedź, szybko pobiegła do bramy. Na podwórku natychmiast otoczyły ją podniecone i szczekające psy.

- Może ci pomóc? - krzyknął Matt.

- Przyjedź kiedy indziej.

Eve odwróciła się, by pomachać mu na pożegnanie, wpadając przy tym w głęboką kałużę. Psy natychmiast uznały to za zachętę do zabawy i zaczęły szczekać jeszcze głośniej.

- Spokój mi tu! - krzyknęła i otarła błoto z twarzy.

Ruszyła w stronę obory, uświadamiając sobie, że mijane przedmioty mają dziwnie rozmazane kształty. Do diabła, musiała zgubić szkło kontaktowe. Sprawa wyglądała beznadziejnie, lecz Eve pomimo wszystko uklękła na ziemi i zaczęła ręką szukać zguby.

- Nic się nie stało? - spytał Matt, przytrzymując nad Eve parasol.

- Wszystko w porządku. - Zawstydzona podniosła się tak gwałtownie, że następne krople błota pacnęły ją prosto w twarz. - Słuchaj, to nie najlepszy moment na rozmowę. Mam tu coś w rodzaju małego kataklizmu. - Mrużąc jedno oko, podeszła do wrót obory. Pod daszkiem stali Sukie i Elmer, nawzajem się ignorując. Zabrakło tam już miejsca dla Samotnika, którym wstrząsały dreszcze. Był cały przemoczony i popatrzył na Eve z wyrzutem.

- Biedactwo - szepnęła dziewczyna i poklepała zwierzaka po szyi. - Zaraz cię wysuszę.

Gdy otworzyła wrota, muł natychmiast wtargnął do środka. Po chwili dołączyli do niego koza i krowa.

- Chyba jednak powinienem ci jakoś pomóc - stwierdził Matt.

- Myślałam, że już pojechałeś. Przepraszam, ale naprawdę muszę się teraz zająć czymś innym.

Wzięła garść słomy i zaczęła energicznie wycierać Samotnika.

- Nie sprawię ci kłopotu. Po prostu powiedz, co mam robić. A poza tym musisz coś zjeść. Przywiozłem sporo dobrych rzeczy - nie ustępował Matt.

Eve westchnęła z rezygnacją. Musiała wyglądać jak straszdyło, lecz w tej chwili zwierzęta były dla niej najważniejsze.

- No, dobrze. Skończ wycierać Samotnika, a ja wydoję Sukie. Elmer jest bardzo zaradny, więc na razie może poczekać. Później mógłbyś nakarmić Winstona Churchilla, Ludwika i... Gomeza! - W panice rozejrzała się wokół. - Gdzie on jest? Przecież go tu zamknęłam!

Sukie poruszyła się niespokojnie i zamuczała żałośnie.

- Wiem, kochanie - zwróciła się do niej Eve łagodnie. - Zaraz się tobą zajmę. Nawet nie chcę myśleć o tym, co zrobił Gomez. Mam nadzieję, że nie dobrał się do krów sąsiada.

- Może powinienem go poszukać - zaofiarował się Matt.

Eve zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Sama się za nim rozejrzę, a ty zajmij się wszystkim tutaj.

- To znaczy co mam zrobić?

- Okryj derką Samotnika i wydój Sukie. Tam w kącie jest stołeczek i wiadro. Chyba umiesz wydoić krowę?

- Jasne! - zapewnił ją Matt. - Nie ma problemu - powtórzył sam do siebie, gdy Eve odeszła.

Najpierw okrył derką starego muła. Potem zdjął swój elegancki jasny płaszcz i podwinął rękawy koszuli. Ze stołeczkiem i wiadrem w dłoniach zbliżył się ostrożnie do krowy.

- Dobry wieczór, Sukie. Przyszedłem cię wydoić.

Krowa odwróciła łeb i spojrzała na Matta badawczo wielkimi, brązowymi oczami. Mógłby przysiąc, że w jej spojrzeniu skrywała się cicha rezygnacja. No cóż, podobno zwierzęta bezbłędnie wyczuwają każdy fałsz. Był pewien, że Sukie nie dała się zwieść jego buńczucznym zapowiedziom.

Matt oczywiście nieraz widział, jak się doi krowy. Kiedy miał osiem lat, dziadek Pete usiłował go nauczyć tej sztuki. Skończyło się jednak na tym, że zniecierpliwiona krowa najpierw go kopnęła, a potem boleśnie nastąpiła mu na stopę. Z ciężkim westchnieniem usiadł na stołeczku i podstawił wiaderko pod wymiona Sukie.

- No dobra, słonko, postawmy sprawę jasno. Jeśli będziesz grzeczna, ja też będę miły. Ale jeśli przyjdzie ci do łba coś głupiego, to poznasz złe cechy mego charakteru.

Sukie nie wskazywała żadnych objawów zdenerwowania. Na razie wszystko szło jak po maśle.

Matt energicznie potarł zmarznięte dłonie, delikatnie ujął wymiona i pociągnął.

Ani kropli mleka.

Spróbował ponownie, z tym samym rezultatem.

- Sukie, kochanie, nie jesteś zbyt chętna do współpracy.

Krowa odwróciła do niego łeb. Matt mógłby przysiąc, że wzniosła oczy ku niebu w wyrazie niemej pogardy.

Po pięciu minutach próśb, gróźb i przekleństw Matt był cały spocony, a wiaderko nadal puste. Nie miał jednak zamiaru wyjść przed Eve na idiotę.

Poklepał Sukie uspokajająco po grzbiecie i mruknął:

- Poczekaj chwilę, zaraz skonsultuję się z fachowcem. Wyciągnął z kieszeni płaszcza telefon komórkowy i wybrał numer dziadka Pete'a.

Pokrótkie wyjaśnił mu całą sytuację, na co Pete najpierw zareagował złośliwym rechetem, a potem powiedział:

- No dobrze, synu, udziele ci kilku cennych wskazówek.

Gdy Eve wróciła do obory, cała przemoknięta i zmarznięta, zastała pana prezesa Crowa w świetnym nastroju. Rozparty na stołeczku, energicznie i fachowo doił Sukię, podśpiewując sobie do rytmu:

„Kropla tu, kropla tam,
i wiaderko pełne mam”.

- Znalazłaś Gomeza? - spytał.

- Zaopiekowali się nim sąsiedzi. Pozwolili mu leżeć na kanapie i poczęstowali pieczeniową wołową. Obiecali zająć się nim do rana. Nakarmiłam Winstona Churchilla, Ludwika i Deweya. A ty skończyłeś?

- Mam tylko pół wiaderka mleka.

- To i tak lepiej niż ja. Do zeszłego tygodnia nie miałam pojęcia o dojeniu krów. Nauczył mnie tego dopiero Jimmy Johnson, który mi pomaga. Powiedział, że tutaj wszyscy potrafią obchodzić się z krowami. Byłam pewna, że świetnie sobie poradzisz. Kiedy się tego nauczyłeś?

- Po raz pierwszy próbowałam, kiedy miałem osiem lat. Kim są Winston Churchill, Ludwik i Dewey?

- Winston Churchill to kogut, a Ludwik i Dewey to kaczki.

- A co zrobiłaś z kurą?

- Podarowałam ją znajomym.

- Chodźmy do domu. Powinnaś się przebrać.

Eve spojrzała na niego ostro, lecz Matt miał bardzo niewinny wyraz twarzy.

W strugach deszczu wbiegli na ganek.

- Trzymasz świnię w domu?

Eve uśmiechnęła się.

- Cicho! Minerwa strasznie nie lubi, kiedy tak się o niej mówi. A poza tym jest o wiele inteligentniejsza i porządniejsza od psów.

Minerwa chrząknęła potwierdzająco.

W progu czekał jeszcze na nich bernardyn Charlotte i dwa wielkie mieszańce, Lucy i Bowie, które Eve przygarnęła, gdy były szczeniakami.

- Najpierw je nakarmię, później trochę tu posprzątam i możemy siadać do kolacji.

Matt poszedł za nią do rozległego holu, w którym rozbrzmiewał piękny, męski głos. Soczysty tenor wyśpiewywał włoską pieśń miłosną. Matt zatrzymał się jak rażony gromem.

- Czy to Charlie?

- Nie, to Caruso - Eve roześmiała się. - To znaczy gwarek, który tak ma na imię. Mieszka w salonie. Mam nadzieję, że lubisz operę. Na ogół jest bardzo spokojny, ale kiedy zacznie śpiewać, nie może przestać. Jego poprzednim właścicielem był nauczyciel muzyki.

- Jak do ciebie trafił?

- Znałam Sergia bardzo dobrze. Kiedy umarł, okazało się, że zapisał mi Carusa w testamencie.

- Ri - di, Pagliaccio, ach - ha - ha - ha! - Caruso coraz głośniej dawał upust swoim wezbranym uczuciom.

Matt skrzywił się lekko.

- Może powinienem go nauczyć bardziej swojskiej muzyki? Lubisz country?

- Nie bardzo.

- To nie powinnaś mieszkać w Teksasie. Zabiorę cię kiedyś na tańce do „Czerwonego Psa”. Może zmienisz zdanie. A teraz idź się przebrać, bo dostaniesz zapalenia płuc, a ja tymczasem nakarmię twoją głodną gromadkę.

- Dzięki, wszystko znajdziesz w spiżarni. - Nagle wzrok Eve padł na wielką kałużę. - No dobra, które z was ma to na sumieniu?

- Na pewno nie ja - stwierdził rozbawiony Matt i spojrzał w górę. - Obawiam się, że masz dziurawy dach.

- Tylko tego mi brakowało! Zaraz przyniosę jakiś garnek z kuchni.

Następne kałuże znaleźli w kuchni, salonie, holu i w gościnnej sypialni.

- Cholera - powiedziała Eve - ten dach to istne sito.

Gwałtownie się odwróciła i wpadła prosto w ramiona Marta. Spokojnie, kochanie, upomniała samą siebie. Żadnych głupstw.

- Eve - szepnął Matt ochryple.

- Tak?

- Po prostu lubię wymawiać twoje imię.

Nachylił się nad nią, lecz odepchnęła go gwałtownie.

Jednostajny dźwięk wpadających do blaszanych garnków kropel skierował myśli dziewczyny na inne tory. Czekwały ją spore wydatki. Nie dość, że powinna zainstalować nową termę i wymienić rury, to teraz jeszcze dach. Kiedy ueziera tyle pieniędzy? Na razie pozostawało więc tylko bacznie śledzić prognozę pogody i mieć zawnzasu przygotowane naczynia na deszczówkę.

Matt zajął się Minerwa i psami, zaś Eve wzięła szybki prysznic i przebrała się. Ponieważ nie miała zapasowych szkieł kontaktowych, musiała włożyć okulary. Co prawda Irish była zdania, że oprawki są wyjątkowo nietwarzowe, lecz Eve nie miała zamiaru tym się przejmować.

Gdy usiadła na łóżku, by nałożyć skarpetki, wyczuła mokrą plamę.

Cała pościel była wilgotna. Eve zerwała się i spojrzała na sufit. Woda kapiała miarowo wprost na środek łóżka.

- Wspaniale! - mruknęła, ściągając kołdrę. Dzięki Bogu, materac był suchy.

Wyglądało na to, że następną niedzielę spędzi na dachu, objuczona narzędziami i dachówkami.

- Ależ wspaniały zapach! - krzyknęła, wchodząc do kuchni.

Nagle zatrzymała się gwałtownie.

Matt właśnie zapalał świecę. Stół nakryty był pięknym, granatowym obrusem i o kilka tonów jaśniejszymi serwetkami. Na środku stał mały bukietik żółtych róż. Matt uśmiechnął się, widząc zaskoczoną minę Eve. Na chwilę ich oczy się spotkały.

Otaczała ich magia, niemal namacalna i przenikająca aż do szpiku kości.

- Cholera! - wrzasnął nagle Matt, gdy nie zdmuchnięta zapalka poparzyła mu palce.

Eve uklękła i podniosła z podłogi rozspanego kota.

- Cześć, Charlie, pewnie jesteś głodny?

- Charlie?

- Charlie Chan. Już tak się nazywał, gdy kilka lat temu go dostałam.

- To właśnie ten Charlie?!

Do diabła! Eve poczuła, że się czerwieni. Postanowiła nie brnąć w dalsze kłamstwa.

- No właśnie - westchnęła ciężko. - Pewnie wyczuł rybę.

- A więc ten Charlie, z którym mieszkasz, to kot? - spytał Matt z nienaturalnym spokojem.

- Tak mi się przynajmniej wydaje - odpowiedziała, siląc się na dowcip, lecz Matt nawet się nie uśmiechnął.

- Matt, jesteś na mnie zły?

- Nie. Raczej zaskoczony. Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to przede wszystkim bardzo zadowolony. - Potrząsnął głową, wreszcie się roześmiał i wziął na ręce kota.

- Cześć, stary. Cieszę się, że cię poznałem. Lubisz rybki, prawda? Co powiesz na wędzonego łososa?

Charlie przytulił łeb do brody Matta i zaczął głośno mruczeć.

Nawet Pansy wyszła ze swej ukochanej kryjówki, by wziąć udział we wspólnej kolacji.

- Świetnie sobie radzisz ze zwierzętami - stwierdziła Eve.

- Szybko się uczę. A poza tym jestem bardzo zainteresowany ich panią. Może ty też dasz się namówić na łososia?

- Jestem wegetarianką.

- Irish powiedziała mi, że nie jesz mięsa, więc przyniosłem mnóstwo warzyw. Różne sałatki, duszone grzyby, kapary, oliwki, karczochy, makaron z sosem pomidorowym i bazylią. W piekarniku podgrzewa się francuski chleb.

- Świetnie! To bardzo miło z twojej strony.

Matt ujął pasemko włosów Eve i okręcił je sobie wokół palca.

- Są takie piękne, miękkie i delikatne! Lśnią jak promyki słońca.

Eve nieśmiało zerknęła mu w oczy, lecz natychmiast opuściła wzrok. Teraz było jeszcze gorzej, bo patrzyła prosto na jego usta. Pełne i zmysłowe.

Miała wrażenie, że coś popycha ją wprost w ramiona tego faceta.

Gdy dotknął wargami jej ust, Eve z ochotą poddała się pieszczocie.

Siedzące im na ramionach koty zaczęły głośno protestować przeciwko tym breweriom.

Matt i Eve niemal równocześnie poderwali się z miejsc, gdy rozeźlone zwierzaki, fukając z oburzeniem, zeskokczyły na podłogę.

- Au! - krzyknęła Eve, mając wrażenie, że Matt za chwilę wyrwie jej pasemko włosów wraz z cebulkami.

- Nie ruszaj się, muszę to delikatnie rozplątać.

Gdy było już po wszystkim, Matt wyglądał na nieco spłoszonego.

- Przepraszam, chyba zepsułem nastrój wieczoru.

- Tak, lepiej siadajmy do jedzenia. - Eve zmusiła się do uśmiechu.

Nagle uświadomiła sobie, że Matt ani słowem nie wspomniał o jej okularach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ile? - krzyknęła Eve, patrząc z oburzeniem na aparat telefoniczny w swoim biurze. Gdy rozmówca powtórzył sumę, skrzywiła się i stwierdziła krótko: - Wolne żarty!

Niestety, facet z firmy dekarskiej zdawał się nie mieć poczucia humoru. Z namaszczeniem i powagą poinformował Eve, że nowy dach to wydatek rzędu kilku tysięcy dolarów.

- Dziękuję za informację. Zadzwonię do państwa, kiedy podejmę decyzję.

Inne firmy oferowały cenę równie wygórowaną. Eve podparła dłońmi głowę i ciężko westchnęła.

- Masz jakieś problemy?

Tuż za nią stanął Sam Marcus, jej ulubiony kolega z pracy.

- Może znasz prognozę pogody na najbliższe dni?

- Pewnie. Zachmurzenie małe z częstymi roz pogodzeniami. W niedzielę spodziewana jest burza. Śledzę prognozę, bo podczas weekendu wybieramy się z narzeczoną do Canton na targ staroci.

- Zazdroszczę ci. Ja muszę się zająć naprawą dachu. Masz młotek?

- Nie licz na mnie, słoneczko. Mam lęk wysokości. To moja jedyna słaba strona - stwierdził Sam z szerokim uśmiechem, podając Eve folder. - Zerknij na to, zanim trafi do produkcji. I jeszcze jedno. Nancy ma brata, który jest świetnym mechanikiem samochodowym.

- Będę o tym pamiętać. - Eve zerknęła na rysunki Sama. - Dobra robota! Przekaż Nancy, że podobał mi się jej tekst.

- Pewnie wolałaby to usłyszeć od ciebie osobiście. Wygląda na bardzo pewną siebie, ale to tylko pozory. Jest łasa na pochwały.

- Jak my wszyscy.

Gdy Sam wyszedł, zerknęła na zegarek i zadzwoniła do Bryana Belo. Rano poprosiła go, by napisał dwie trzydziestosekundowe reklamówki do radia. Teraz dochodziło południe.

- B.B. na linii. Słucham.

- Bryan, tu Eve. Czy skończyłeś swoją robotę?

- Oczywiście.

- Czy mógłbyś mi to pokazać?

- To niemożliwe.

- Co takiego? Nie rozumiem. - Eve nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Teksty są na biurku Barta, a on wyszedł na spotkanie z klientem.

- A dlaczego zaniósłeś je do Barta?

- Ponieważ jest moim szefem.

Eve mogłaby przysiąc, że w głosie Bryana pobrzmiewa drwina. Zalała ją fala wściekłości. Uspokój się! nakazał sobie w duchu. Bryan z jakichś powodów nie darzył jej sympatią i nawet nie starał się tego ukrywać. Powinna natychmiast zareagować na jego bezczelne zachowanie, bo inaczej sprawy wymkną się jej z rąk.

- Ja też jestem twoją szefową - stwierdziła chłodno. - I nie powinieneś o tym zapominać. Podejrzewam, że pisałeś na komputerze. A więc natychmiast zrób wydruk. Chcę cię widzieć za dziesięć minut.

Szybko odłożyła słuchawkę, zanim Bryan zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Jeśli nie liczyć drobnych utarczek z pewnym siebie i aroganckim panem Belo, pierwszy tydzień pracy upłynął Eve wspaniale. Polubiła biuro i kolegów. Zaczynał jej się nawet podobać Teksas i jego mieszkańcy, ludzie nadzwyczaj serdeczni i przyjaźni.

Tutaj wszystko było większe i bardziej kolorowe. Musiała przyznać, że coraz bardziej przekonywała się też do Matta. Widywali się niemal codziennie, często też jadali razem kolacje. Ich spotkania znacznie przekroczyły ramy czysto zawodowych kontaktów. Eve była tym nieco zakłopotana, ponieważ obawiała się plotek.

Czekał ich też wspólny wyjazd. Matt nalegał, by Eve poleciała z nim jego liniami lotniczymi do jednego z dużych miast. Twierdził, że to pomoże jej zrozumieć specyfikę Crow Airlines. Była to rozsądna i uzasadniona propozycja, lecz Eve odczuwała z tego powodu lekki niepokój.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Co robisz podczas lunchu? - W słuchawce rozległ się głos Matta.

- Idę z Samem i Nancy do Pioneer Plaza. Chcą mi pokazać jakąś rzeźbę.

- Świetnie! Uwielbiam to miejsce. Wiesz co, kupię kanapki i spotkamy się tam po dwunastej.

- Ale umówiłam się...

- Nie ma problemu - przerwał jej Matt. - Przyniosę więcej jedzenia. Chętnie poznam lepiej twoich współpracowników, a przy okazji porozmawiamy o interesach.

Eve nie była do końca przekonana, ale ostatecznie Matt był ważnym klientem.

- Zgoda. Jesteśmy umówieni.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, do gabinetu wszedł Bryan Belo. Bez słowa rzucił na biurko kartkę papieru.

- Czy to te reklamy radiowe?

- Tak - odpowiedział zwięźle i ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę. Usiądź, proszę.

Nie posłuchał jej. Oparł się o framugę i skrzyżował ramiona. Eve postanowiła zignorować tę jawną manifestację. Chciała dać Bryanowi nauczkę i dlatego czytała tekst bardzo

powoli i uważnie, nie zważając na teatralne westchnienia podwładnego. Wreszcie uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Bryanie, to wspaniała robota! Jestem pewna, że nasz klient będzie bardzo zadowolony.

- Jestem w tym dobry - odpowiedział Bryan, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy.

- To prawda. Masz talent.

- Czy to wszystko? Nie mam czasu na pogaduszki. Jestem bardzo zajęty.

Eve zacisnęła zęby i policzyła w duchu do dziesięciu. Po namyśle uznała, że nie powinna zaogniać i tak już napiętej sytuacji.

- Dziękuję. Pamiętaj, że spotykamy się po południu, by omówić dalszy plan działania.

Podwładny skinął głową i bez słowa wyszedł.

Eve odchyliła się w fotelu i westchnęła głęboko. Coraz bardziej denerwowało ją zachowanie Bryana. Miała nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzi i nie będzie musiała szukać pomocy u Barta.

- O rany! - krzyknęła Nancy, gdy Matt zaczął wypakowywać jedzenie. - Jeśli przyniosłeś krewetki, to chyba cię pocałuję.

- Słowo się rzekło - odpowiedział Matt z łobuzerskim uśmiechem.

Gdy Nancy obdarzyła Matta siarczystym całusem w policzek, Eve poczuła się zakłopotana. Była zdziwiona swoją reakcją, bo nie uważała się za zazdrośnicę. Przynajmniej do tej pory.

Od pamiętnej kolacji z kotami Matt już nigdy nie spróbował pocałować Eve.

To trochę dziwne, pomyślała. Spotykali się tak często, że miał ku temu mnóstwo okazji. Owszem, gładził ją po policzku, ścisnął jej rękę, ale na tym koniec.

Czuła się trochę rozczarowana. Eve nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w sprawach męsko - damskich. Ostatni facet, z którym się spotykała, nie wzbudzał w niej zbyt żywych uczuć. Dlatego szybko z nim zerwała.

Wspomnienie zmysłowych ust Matta sprawiło, że Eve lekko się zaczerwieniła. Szybko przywołała się do porządku. Wdawanie się w aferę miłosną z klientem byłoby bardzo nierozważnym posunięciem.

- Chcesz kanapkę? - wyrwał ją z rozmyślań głos Matta. - Z awokado, z jajkiem, sercami karczochów. Same zdrowe rzeczy. - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Eve ostatecznie doszła do wniosku, że Matt nie jest nią zainteresowany. Był miły i grzeczny, bo tego wymagały ich stosunki zawodowe. Nie była dziewczyną w jego typie. Do niego bardziej pasowałaby seksowna i pewna siebie blondynka.

- Ani grama mięsa. - Matt ponownie zaofiarował jej kanapkę.

- Dzięki. - Eve zmusiła się do uśmiechu i usiadła z olbrzymią kanapką w dłoni na pieńku pod rozłożystym orzechem.

Rozciągał się stąd wspaniały widok na monumentalną rzeźbę. Dzień był słoneczny i ciepły. Szum wiatru i wodospadu zagłuszał odgłosy miasta. Okoliczne wzgórza porośnięte były soczystą trawą i kwiatami. Sam opowiedział Eve, że w tym miejscu kiedyś przecinały się szlaki Indian i pierwszych białych osadników. Jeszcze nie tak dawno odbywały się tu wielkie targi bydła.

Eve patrzyła z zachwytem na wielkie, brązowe rzeźby przedstawiające spęd bydła. Figury tchnęły realizmem i dynamiką.

- Niesamowite - szepnęła, niemal zapominając o jedzeniu.
- Jaka dbałość o szczegóły. Niemal widzę kurz wzniesany

kopytami koni i słyszę świsty batów. I to wszystko jest takie... wielkie.

- Nie ma to jak Teksas - stwierdzili Sam i Matt niemal jednogłośnie.

Nancy roześmiała się:

- Eve, wkrótce staniesz się jedną z nas. Zobacysz!

- Przecież ty pochodzisz z Michigan - z naciskiem przypomniał jej Sam.

- To tylko wypadek przy pracy. W Las Colinas jest równie wspaniały pomnik mustangów - zwróciła się Nancy do Eve.

- Pyszne - mruknął Sam, zatapiając zęby w kolejnej monstrualnej kanapce. - Dużo lepsze niż wątrobianka na chlebie z rodzynkami.

- A co to za połączenie? - spytała zde gustowana Nancy. - Jak na to wpadłeś?

- To wynik desperacji - odpowiedział Sam. - Zbliża się koniec miesiąca, a wątrobianka jest bardzo tania. A chleb z rodzynkami dostałem od ciotki Sofii, która sama go piecze. Boże, jak ja nienawidzę rodzynek!

- Ja też - przyznał się Matt. - Nie wiem, po co dodaje się je do ciasteczek. Ale najbardziej ze wszystkiego nienawidzę ciasta z owocami.

- A ja bardzo lubię rodzyнки i ciasto owocowe - włączyła się do rozmowy Eve.

- Placki z owocami to marnotrawstwo produktów - pośpieszyła Mattowi z odsieczą Nancy. - Co innego ciasto czekoladowe. Ale najlepsza ze wszystkiego jest legumina.

- Irish mówiła mi, że masz wytwórnię leguminy - zwróciła się Eve do Matta.

- Miałem, ale postanowiłem ją sprzedać - mruknął niewyraźnie Matt, ścierając majonez z kącików ust.

- Sprzedałeś ją?! Tyle leguminy? Coś ty najlepszego zrobił! - wykrzyknęła Nancy. - Mogłabym ją jeść bez przerwy.

- I w tym właśnie cały sęk - stwierdził Matt ze śmiechem. - Gdy przytyłem o piętnaście kilogramów, nie miałem innego wyjścia.

- Sam i Nancy przygotowali kilka świetnych projektów. - Eve starała się skierować myśli Matta na sprawy zawodowe.

- Przejrzę je później. Cieszymy się chwilą. Kto wpadł na pomysł, żeby urządzić tutaj lunch?

- Nasz wspaniały pan Marcus - odpowiedziała Eve.

- Czy jesteś spokrewniony z Neimanem Marcusem? - spytał Matt.

Sam zakrztusił się kanapką.

- Uchowaj Boże! Mój pradziadek miał z nim na pieńku.

Eve podniosła wzrok znad jedzenia i ujrzała zbliżającego się w ich kierunku starszego mężczyznę. Ubrany jak włóczęga, popychał przed sobą wielki wózek na zakupy, po brzegi wyładowany starociami. Pomarszczona twarz była ogorzała od słońca. Zmierzwił siwe włosy opadały aż na ramiona. Mężczyzna miał na głowie czerwoną czapkę baseballową.

Eve pomyślała, że to jeden z bezdomnych, których nie brak w żadnym wielkim mieście. Zmieszana, odwróciła wzrok. Zawstydzila ją własna reakcja, ale nigdy nie wiedziała, jak traktować takich ludzi. Oczywiście współczuła im, lecz nie wiedziała, w jaki sposób im pomóc.

- Matthew Crow? To naprawdę ty? - W głosie starszego mężczyzny zabrzmiała nieklamana radość.

Matt spojrzał zdziwiony, a potem powoli wstał i wyciągnął rękę.

- We własnej osobie. Jak się miewasz, Doc?

- Świetnie. Chyba czuję pieczeń wołową.

- Zgadza się, i mamy jej wyjątkowo dużo. Usiądź, przedstawię ci moich przyjaciół.

Matt ustąpił mężczyźnie miejsca.

- Nie, dziękuję, postoję, ale chętnie poznam twoich znajomych.

- Doktorze Milstead, przedstawiam panu Eve Ellison, Nancy Brazil i Sama Marcusa. Pracują w agencji reklamowej, która wykonuje dla mnie ważne zlecenie.

Doc zsunął czapkę i skinął wszystkim dostojnie swoją siwą głową.

- Jestem zaszczycony. A z której agencji jesteście? - zwrócił się do Eve.

- Z Coleman - Walker.

- O, to świetna firma. Eugene Walker był moim studentem. Mógł zrobić karierę jako futbolista, ale miał paskudną kontuzję kolana. - Doc przerwał na chwilę i zerknął do pudeł z jedzeniem. - Chyba widzę sernik z galaretką truskawkową. Tego nie potrafię sobie odmówić, ale musicie pozwolić, bym za to zapłacił.

- Doc... - zaczął Matt z oburzeniem. Stary mężczyzna zaśmiał się chrapliwie.

- Nie mam na myśli pieniędzy, wiesz dobrze, że nie dbam o gotówkę. Przeszedłem na handel wymienny. To o wiele wygodniejsze. Poczekaj, zaraz znajdę coś odpowiedniego w moich szpargałach.

Matt westchnął z rezygnacją i skinął głową na znak zgody.

Doc podszedł do swojego zdezelowanego wózka. Po serii łomotów i brzęków wyciągnął ze środka jakiś duży przedmiot.

- Matthew, mam dla ciebie coś odpowiedniego! Znalazłem to wczoraj na śmietniku w eleganckiej dzielnicy.

Spójrz, najwyższa jakość i w dobrym stanie. To bardzo odpowiedni prezent dla młodego mężczyzny. Nazwałem ją Maud.

Doc podał Mattowi naturalnej wielkości manekina. Łysa i naga piękność miała złamany nos i brakowało jej lewego ramienia.

- Dzięki, Doc - powiedział oszołomiony Matt. - Może zostaniesz z nami jeszcze chwilę?

- Nie, idę na lunch z Mary Ellen. - Starszy pan skinął głową w kierunku rozciągającego się tuż obok cmentarza. - Wybaczcie państwo, ale się śpieszę.

Skinął wszystkim głową i przyjął od Matta torbę z jedzeniem.

- Może jeszcze czegoś ci trzeba, Doc? - Matt wyjął z kieszeni portfel.

- Nie dzisiaj, Matthew.

Wyprostowany jak struna, Doc podszedł do wózka i ukrył starannie torbę z jedzeniem w jego wnętrzu. Pomachał jeszcze wszystkim na pożegnanie i powoli się oddalił.

Matt patrzył za nim dłuższą chwilę, nie wiedząc, ile właśnie zyskał w oczach Eve. Miała ochotę uściskać go za to, w jaki sposób potraktował biednego Doca. Doszła do wniosku, że Matthew Crow jest nie tylko niezwykle seksownym, przystojnym i bogatym facetem, ale też po prostu bardzo dobrym i taktownym człowiekiem. Nic dziwnego, że starał się jej umilić pierwsze tygodnie pobytu w Teksasie.

- Kim jest ten starszy pan? - spytała Eve. - Mówił jak wykształcony człowiek, a ty nazwałeś go doktorem Milsteadem.

- Doktor Henry Milstead, stypendysta Fundacji Fulbrighta, zrobił doktorat z ekonomii i został wykładowcą uniwersyteckim. Przez całe lata był naszym sąsiadem.

- I co się stało? - dopytywała się dalej Eve.

- Jego żona, Mary Ellen, uciekła z klaunem, występującym na rodeo. To był dla wszystkich olbrzymi szok, a zwłaszcza dla Doca. Nie potrafił się z tym pogodzić i zaczął pić. - Matt wzruszył bezradnie ramionami.

- Czy Mary Ellen umarła? - spytała Nancy.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy ktoś ma ochotę na sernik? - Matt szybko zmienił temat.

Eve podała ciasto Samowi i Nancy, którzy postanowili przejść się w stronę wodospadów. Potem podała talerz Mattowi i zapytała:

- Co masz zamiar zrobić z tym manekinem?

- Z Maud? Nie wiem. Może będę z nią spał.

- Co takiego? - Eve roześmiała się, a potem szybko przykryła usta dłonią.

Matt natychmiast chwycił ją za przegub.

- Tak - odpowiedział spokojnie. - Dopóki nie znajdę kogoś, kto będzie od niej trochę mniej zimnokrwisty i kanciasty. - Eve jak zaczarowana patrzyła na Matta, który wyjął z pojemnika dorodną truskawkę i powoli włożył ją sobie do ust. - Jesteś zainteresowana? - spytał niewyraźnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy w sobotę o szóstej rano zadzwonił budzik, rozzłoszczona i niewyspana Eve zrzuciła go z szafki na podłogę. Była tym bardziej rozdrażniona, że piekielny chronometr wyrwał ją z nader przyjemnego, erotycznego snu. Poczowała na policzku czyjś zimny nos, a tuż przy uchu znaczące sapanie. Miarowy stukot na drewnianej podłodze był kolejnym świadectwem tego, że Minerva bardzo stęskniła się za towarzystwem. Aromat kawy, wydobywający się z automatycznego ekspresu, wypełnił cały pokój. Mroczne tony wagnerowskiej arii odbijały się echem od ścian, niemal wwiercając się w znękaną mózg Eve. W tych warunkach nie było mowy o pozostaniu w łóżku.

Caruso najwidoczniej był w szczytowej formie. W takich dniach Eve miała ochotę podarować nieszczęsnego ptaka największemu wrogowi. Z trudem wygrzebała się z ciepłej pościeli i sięgnęła po okulary.

Pora zająć się dachem.

Powoli powlokła się do drzwi wejściowych, by wypuścić na dwór wszystkie zwierzaki. Potem ostrożnie wychyliła głowę i zerknęła w niebo. Na szczęście na horyzoncie nie było żadnych chmur.

- Dzień dobry - przywitał ją głęboki, męski głos.

- Matt! - krzyknęła przestraszona i natychmiast owinęła się zasłoną.

W porę przypomniała sobie, że ma na sobie tylko króciutką, koronkową koszulkę w niebieskim kolorze.

- Tak, proszę pani, to ja.

Matt ubrany był w zniszczone buty sportowe, sprane dżinsy i kraciastą koszulę. Na głowie miał czapeczkę z emblematem Strażników Teksasu. Siedział rozparty w starym, bujanym fotelu, z nogami opartymi o poręcz werandy. Z

plastikowego kubeczka popijał kawę i bezwstydnie gapił się wprost na Eve.

- Co ty tu robisz?! - krzyknęła, owijając się jeszcze szczelniej zasłoną.

- Przyniosłem narzędzia, bo chyba trzeba ci pomóc w naprawie tego dachu.

- Dziękuję, ale sama bym sobie poradziła.

- Nie ma sprawy. To tylko pomoc sąsiedzka. Reszta w drodze, zaraz tu będą.

- Kto?!

- Zobaczysz. Powinnaś się chyba ubrać. Mnie osobiście nie przeszkadza, że jesteś prawie naga, ale... - Uśmiechnął się figlarnie.

Eve spojrzała w dół i zamarła. Miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Zamiast w zasłonę, owinęła się w cieniutką jak mgiełka firankę.

- Natychmiast zamknij oczy! - krzyknęła i popędziła do sypialni.

Gonił ją donośny śmiech Matta. Ze wstydu paliły ją policzki.

Kilka minut później, już kompletnie ubrana i ze związanymi porządnie włosami, wkroczyła do kuchni. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić sobie lekkiego makijażu i nie włożyć nowych szkieł kontaktowych. Po chwili jednak zdecydowanie odrzuciła ten pomysł i energicznie poprawiła okulary na nosie. Po co się wysilać, przecież nie wybierała się na przyjęcie, tylko zamierzała łątać dziurawy dach.

Szybko nakarmiła koty i naląła sobie kawy. Z kubkiem w dłoni wybiegła na zewnątrz.

Matt opierał się niedbale o poręcz werandy.

- Czy naprawiałaś już kiedyś dach? - zapytał.

- Nie, ale dostałam instrukcję w sklepie z narzędziami. - Z kieszeni spodni wyjęła ciekawą książeczkę. - Przeczytałam ją bardzo dokładnie. Czy wiesz, jak się łąca gonty?

- Trochę. Kiedyś, żeby sobie dorobić, pracowałam podczas wakacji na budowie.

- Tylko przez jedno lato?

- Tak. Szybko doszedłem do wniosku, że lepiej być ratownikiem. To łatwiejsza praca, nie pozbawiona licznych przyjemności.

- Czy te „przyjemności” noszą bikini?

- Skąd wiesz? - Matt roześmiał się. - Pokaż mi tę broszurkę. - Przekartkował szybko książeczkę. - Już wiem, co trzeba zrobić. Gdzie zaczynamy?

- Zdążyłeś już to wszystko przeczytać? - spytała zdziwiona Eve.

- Na ogół jestem bardzo szybki. Ale niektóre sprawy lubię rozgrywać bardzo powoli. - Matt delikatnie obrysował palcem zarys górnej wargi Eve. - A muszę też dodać, że do twarzy ci w niebieskiej koronkowej koszulce.

Eve chrząknęła z zakłopotaniem.

- Nie wracajmy do tego, proszę. To dla mnie trochę krępujące.

- Trudno mi o tym zapomnieć. Nie masz się czego wstydić, bo jesteś piękną kobietą. Powiedz, od czego mam zacząć.

- Od czego? - powtórzyła, a jej głos zabrzmiał wysoko i piskliwie. Odchrząknęła i obniżyła głos o oktawę. - Od czego?

- No tak, zrobię wszystko, co tylko zechcesz. - Głos Matta brzmiał niezwykle sugestywnie.

Eve wiedziała, że ta rozmowa zbacza na niebezpieczną tory. Nabierała przeświadczenia, że Matt Crow jest najbardziej pociągającym mężczyzną nie tylko w Teksasie, ale w całym wszechświecie.

- A zatem bierz młotek i chodź za mną.

Eve odwróciła się na pięcie i ruszyła na podwórko.

Przy wtórze dźwięku klaksonów na podjazd wjechały dwie ciężarówki. Psy i Minerwa natychmiast otoczyły nowo przybyłych.

- Nadeszły posiłki - stwierdził Matt. - Dziadek Pete, mój brat Jackson i kilku jego pracowników. Później przyjedzie jeszcze Kyle, a Irish przywiezie kanapki.

- Dzień dobry! - krzyknął Pete Beamon, machając do nich ręką na powitanie. - Mówiłeś coś o kanapkach? Nie będą potrzebne, bo mam mnóstwo wspaniałego gulaszu. Jackson, zanieś kociołek do kuchni. Jimmy i Buddy, ustawcie lodówki na werandzie.

Jackson Crow uśmiechnął się do Eve i dotknął palcami runda kowbojskiego kapelusza.

- Cześć, Eve, mam nadzieję, że lubisz gulasz. Którędy do kuchni?

- Chodź, zaprowadzę cię - zaofiarował się natychmiast Matt. - I uważaj na Pansy, bo jest bardzo płochliwa.

- Kto to jest Pansy? - zapytał Jackson, przystając na chwilę na schodach.

Oburącz trzymał olbrzymi kociołek.

- Ri - di, Pagliaccio!

- To Pansy? - spytał oszołomiony Jackson.

- Nie, to Caruso - stwierdził Matt z wyższością. Eve wyciągnęła rękę do Pete'a.

- Miło cię widzieć.

- I nawzajem, Eve. - Starszy pan ujął jej dłoń i potrząsnął nią energicznie. - Cieszę się, że zdecydowałaś się na przeprowadzkę do Teksasu, zwłaszcza że już niedługo ściągają tu twoi rodzice. - Pete przykląkł, by podrapać Bowiego i Gomeza za uszami. Roześmiał się głośno, gdy Charlotte, Lucy

i Minerwa również zaczęły się natarczywie domagać pieśczot. - A co my tu mamy? Świnę?

- Ciiiicho, Minerwa nie wie, że jest świnią. - Eve energicznie klasnęła w dłonie. - No dobra, zwierzaki, przestańcie kręcić się pod nogami.

Minerwa i psy pomaszerowały na werandę, gdzie zajęły dogodnie punkty obserwacyjne.

- Dobrze ułożone stadko - pochwalił Pete. - Brawa dla ich pani. A to Jimmy i Buddy. - Wskazał na dwóch mężczyzn, którzy weszli na werandę. - Są świetnymi fachowcami. Masz kłopoty z dachem, tak?

- Przecieka jak sito - oświadczył Matt, który wraz z Jacksonem stanął w progu domu.

- No dobra, spójrzmy na to. Jackson, idź po drabinę.

- Pete najwyraźniej mianował się szefem brygady.

- Dziadku, chyba nie masz zamiaru wchodzić na dach? Poradzimy sobie sami, a ty zajmij się jedzeniem i piciem. Nie przywiozłeś przypadkiem termosu z kawą? - Jackson ujął leciutko Pete'a za łokieć.

- Niech będzie - poddał się po chwili wahania starszy pan.

- Idę po termos.

- Wasz dziadek jest naprawdę uroczy - powiedziała Eve.

- I uparty jak osioł - dodał Matt. - Koniec pogaduszek! Bierzmy się do roboty.

- Fatalnie to wygląda - obwieścił ponuro Jackson.

- Nie da się ukryć - zgodził się z bratem Matt. - Jackson, w tych buciorach zlecisz z dachu i skręcisz sobie kark.

- Wręcz przeciwnie - obwieścił Jackson z godnością. - To specjalne buty do wspinaczki. Mają świetne protektory. Eve, czy sprawdzałaś dach, zanim podpisałaś umowę kupna?

- Niestety, nie. Wiedziałam, że kilka rzeczy trzeba będzie wyremontować.

- Coś mi się wydaje, że poprzedni właściciel już nieraz łątał te dziury - stwierdził smętnie Jimmy.

- Najlepiej byłoby położyć nowy dach - poparł go Buddy.

- Niestety, w tej chwili nie mogę sobie na to pozwolić - z ciężkim westchnieniem powiedziała Eve.

- Nie ma sprawy, ja pokryję wszystkie koszty - natychmiast zaofiarował się Jackson.

- Jeżeli ktokolwiek ma jej kupić nowy dach, to na pewno będę to ja! - ryknął Matt.

Buddy z trudem stłumił chichot.

- Panowie, uspokójcie się. Potrafię sama na taki remont zarobić. - Eve była bardzo zmieszana.

- Złotko, niepotrzebnie unosisz się honorem. Jesteśmy teraz rodziną i mamy więcej pieniędzy niż rozumu. Zresztą wczoraj w nocy przegrałem w pokera tyle, że mógłbym ci za to zafundować kilka dachów. - Jackson podczas tej przemowy puszył się jak kogut przed walką.

- To bardzo miło z twojej strony, ale dziękuję - powiedziała nieco urażona Eve. - Na razie będziemy musieli załatać, co się da. Najgorzej jest nad kuchnią.

- Tutaj? - zapytał Matt, stając na wskazanym przez Eve miejscu. - Rzeczywiście...

Nagle zamilkł, a potem krzyknął, gdy jego noga z impetem przebiła zmurszałe dachówki. Bezwładnie opadł na drugie kolano.

- Może chcesz pożyczyć moje buty, braciszku? - Jackson wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zamknij się, Jackson! Wyciągnij mnie stąd - krzyknął Matt.

Eve ruszyła na pomoc, podczas gdy Buddy, Jimmy i Jackson zanosili się głośnym rechotem.

- Nic sobie nie zrobiłeś? - spytała z niepokojem. Matt poruszył ostrożnie nogą i powoli wyciągnął ją z dziury.

- Chyba wszystko w porządku, tylko rozdarłem sobie spodnie.

- Matt, ty krwawisz! - Eve uklękła, by dokładnie obejrzyć ranę. - Masz paskudnie rozciętą nogę.

- Co wy tam, do diabła, robicie?! - dobiegł z dołu ryk Pete'a. - Kawał tynku wpadł do garnka z gulaszem!

- Przepraszamy, dziadku, ale Matt bawi się w King Konga.

- Jesteś ranny, chłopcze? - zaniepokoił się Pete.

- Nie, nic mi nie jest - odkrzyknął chwacko Matt.

- Nie wygłupiaj się - szepnęła Eve - na pewno nie obejdzie się bez kilku szwów.

- To tylko draśnięcie.

- Nic podobnego - warknęła Eve, wyprowadzona z równowagi zarówno idiotyczną brawurą Matta, jak i nieodpowiednim zachowaniem jego starszego brata. - Jackson, przestań się śmiać jak głupek. Matt jest poważnie ranny. Lepiej pomóż mi znieść go na dół. Zawiozę go na pogotowie.

Jackson natychmiast się uspokoił.

- Tak jest, proszę pani. Matt, boli? - spytał wyraźnie zaniepokojony.

Eve natychmiast przejęła dowództwo i już po kilku minutach Matt siedział wygodnie na przednim siedzeniu jej samochodu, a zraniona noga obwiązana była grubym ręcznikiem. Eve zadzwoniła do Kyle'a, który miał dyżur w szpitalu.

- Może powinienem z wami pojechać? - zapytał Cherokee Pete, a na jego pomarszczonej twarzy malował się wyraz troski.

- A może ja pojedę? - zaproponował wyraźnie przejęty Jackson.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ich Matt. - Lepiej zajmijcie się dachem. Najpierw powinniście załatać tę dziurę,

którą zrobiłem. To musi być baaardzo duża łąta - powiedział z naciskiem, puszczając oko do brata i dziadka.

- Zrozumiałem - odpowiedział Jackson ze znaczącym uśmiechem.

Doktor Rutledge z uwagą oglądał ranę na łydce Matta.

- Mogło być gorzej. Nie martw się, słyne z bardzo pięknych szwów. Kiedy odrosną ci włosy, nawet nie będzie widać blizny.

- Kyle, na litość boską, chyba nie masz zamiaru golić mi nogi? Nie możesz poprzestać na zwykłym opatrunku?

- Kto tu jest lekarzem, kuzynku? - zapytał Kyle, przemywając ranę.

- A niech to! Ale piecze! Huknij mnie w łeb, żeby mnie trochę znieczulić.

Kyle roześmiał się złośliwie i uniósł w górę strzykawkę.

- Może wystarczy trochę nowokainy?

- Dobrze i to - stwierdził filozoficznie Matt i posłusznie ułożył się na kozetce.

Z niepokojem śledził każdy ruch Kyle'a. Niechętnie się do tego przyznawał nawet przed samym sobą, ale od dzieciństwa panicznie bał się zastrzyków.

- Kiedy ostatnio szczepiłeś się przeciwko tężcowi?

Matt mógłby przysiąc, że w głosie Kyle'a pobrzmiewa obłudna troska.

- Nie pamiętam - odparł wymijająco.

- Tak właśnie myślałem. Siostrze, proszę dać szczepionkę mojemu kuzynowi. Niech pani użyje tej większej igły.

- Niech cię cholera, Kyle! - jęknął bezradnie Matt.

W odpowiedzi pan doktor tylko się roześmiał.

Eve bezskutecznie próbowała skupić się na czytanej tekście. Po chwili z rezygnacją odłożyła magazyn i zaczęła krążyć po poczekalni. Ona i Matt spędzili w szpitalu więcej czasu, niż się spodziewała.

Wreszcie Kyle pojawił się w drzwiach gabinetu. Podeszedł z uśmiechem do Eve, ujął jej dłonie i serdecznie pocałował kuzynkę w czoło.

- Jak się miewa moja śliczna szwagierka?

- Jestem zdenerwowana. Co z Mattem?

- Wszystko w porządku. Nie ma złamania, wystarczyło kilka szwów. Przez dwa dni powinien oszczędzać nogę i regularnie zażywać lekarstwa. - Kyle podał Eve receptę. - Przepisałem mu antybiotyk i środki przeciwbólowe. Może wstąpicie do apteki, zanim odwieziesz go na swoją farmę? Irish już tam jest, a ja też zaraz dołączę. I, na litość boską, nie pozwól Mattowi wchodzić dziś na dach.

- Bez obaw, Kyle. To wszystko przeze mnie. Dopilnuję, żeby Matt na siebie uważał.

- Nie martwię się o niego, ale o twój dach. Ten narwaniec Matt gotów zrobić w nim następną dziurę. Szkoda, że tego nie widziałem. Założę się, że Jackson miał niezły ubaw. - Kyle uśmiechnął się lekko.

- Owszem, chociaż ja osobiście nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedziała Eve z naciskiem.

- Wiem, złotko. Do zobaczenia później.

Kyle ucałował ją na pożegnanie.

Po kilku minutach młoda i wyjątkowo przystojna pielęgniarka wytoczyła z gabinetu wózek, na którym siedział Matt. Miał obciętą do kolan nogawkę spodni i grubo obandażowaną łydkę.

Eve pomogła mu wsiąść do samochodu i powoli ruszyła, rozglądając się uważnie na boki.

- Czy moglibyśmy na chwilę wstąpić do mnie? Muszę się przebrać. To nie zajmie dużo czasu.

- Oczywiście, choć czuję się trochę winna, że oni tam sami pracują.

- Nie martw się. Dzwoniłem do dziadka ze szpitala. Chciałem go uspokoić, że ze mną wszystko w porządku. Powiedział, że świetnie sobie radzą z robotą. Irish przywiozła mnóstwo kanapek i pyszne ciasto orzechowe. Znosi się na niezły piknik. A skoro już o rym mowa, jestem potwornie głodny. Może wstąpimy gdzieś na hamburgera i frytki?

Gdy wykupili lekarstwa, Matt wyjaśnił Eve, jak dojechać do jego mieszkania. Mieściło się ono w jednej z najlepszych i najdroższych dzielnic miasta. Zaparkowali w podziemnym garażu i wsiedli do windy. Eve nalegała, by Matt wspierał się na niej.

Jego mieszkanie zrobiło na niej oszałamiające wrażenie. Roztaczał się stąd przepiękny widok. Umeblowane było niezwykle gustownie, lecz bez ostentacyjnego przepychu. Po raz kolejny Eve uświadomiła sobie, jak bardzo jej świat różni się od świata bogaczy. To Irish była stworzona do luksusu. Eve w takim wnętrzu czułaby się nieswojo.

Matt położył torbę z hamburgerami na metalowym stoliku ze szklanym blatem.

- Czuj się jak w swoim domu. Zaraz wracam - powiedział.

Gdy Eve pochwyciła swoje odbicie w wielkim lustrze, wpadła w popłoch. Jej okulary były naprawdę tak mało twarzowe, jak twierdziła Irish. Pozbawiona makijażu twarz wydawała się bladą maską o rozmazanych rysach. Włosy wyglądały, jakby nie czesała ich od kilku miesięcy. Dzinsy i sweterek, w które była ubrana, powinny były trafić na śmietnik już kilka lat temu. Zawsze wiedziała, że nie jest piękną, ale nigdy się tym zbytnio nie przejmowała. Takie rzeczy dotychczas nie były dla niej ważne.

Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu łazienki. Postanowiła przynajmniej wyszczotkować włosy.

Nie na wiele się to zdało, gdyż niesforne loki zupełnie odmawiały współpracy. Zrezygnowana, ponownie związała je w koński ogon. Zaczęła nerwowo grzebać w swej przepastnej torbie w poszukiwaniu kosmetyczki, ponieważ jednak jej nie znalazła, po chwili namysłu otworzyła szufladę toaletki. Znalazła szminkę. No cóż, widać Matt miewał roztrzepane przyjaciółki. Pomadka była w kolorze, którego Eve nigdy by dla siebie nie wybrała, ale lepsze to niż nic. Sprawdziła w lustrze wynik tych upiększających zabiegów. Ciemnobrązowa pomadka wyglądała na jej ustach wprost upiornie.

Szybko starła szminkę i ciężko westchnęła. Pora pogodzić się z faktem, że nie jest atrakcyjną kobietą.

Umyła jeszcze ręce, schowała obrzydliwe okulary do kieszeni i wróciła do salonu. Matt, już przebrany, siedział na kanapie i rozkładał na stoliku jedzenie.

Eve niemal wpadła na szklany blat stolika, lecz Matt w ostatniej chwili ją powstrzymał.

- Cholera - mruknęła, gwałtownie mrugając oczyma, w których pojawiły się zdradzieckie łzy.

- Co się stało, maleńka?

- Nie dostrzegłam szklanego blatu.

- A gdzie masz okulary?

- Schowałam je do kieszeni - przyznała Eve z westchnieniem.

- No to je nałóż.

Eve posłuchała go i stwierdziła żałośnie:

- Ale one są takie obrzydliwe.

- Nie jest tak źle. Powinnaś zobaczyć te, które ja nosiłem. To dopiero było szkaradziejstwo.

- Teżnosisz okulary?

- Już nie, ale kiedyś używałem bardzo grubych szkieł. Dzieciaki strasznie mi z tego powodu dokuczały, ale bałem się je zdjąć, bo bez nich niewiele widziałem. Byłem ślepy jak

kret. Kilka lat temu poszedłem na zabieg laserowej korekty wzroku. I od tej pory świetnie widzę.

- Naprawdę?

- Tak. Zrobiłbym to wcześniej, ale jeden z przyjaciół mojej mamy po takim zabiegu prawie stracił wzrok. Matka bała się, że mnie spotka to samo. Kiedy byłem starszy, medycyna poczyniła takie postępy, że postanowiłem zaryzykować. Nie żałuję, bo dzięki temu mogłem zdobyć licencję pilota, o czym zawsze marzyłem.

- Czy dzieciaki naprawdę tak bardzo ci dokuczały? - spytała Eve.

- Niemiłosiernie. W szkole średniej byłem klasową oferumą. Tobie też dokuczano z powodu okularów?

- To był najmniejszy problem. Z powodu mojego wzrostu nazywano mnie Wieżą Eiffla. Nikt nie wierzył, że taka brzydula i niezdara może być siostrą Irish.

- Brzydula i niezdara?! - krzyknął Matt. - Jesteś równie piękna jak ona.

- Nie musisz być taki uprzejmy. - Eve pociągnęła nosem. - Ludzie nie wierzyli, że jesteśmy siostrami.

- Nie siłę się na uprzejmość, a jak już mówiłem, mój wzrok jest teraz bez zarzutu. Czy do ciebie naprawdę nie dociera, że jesteś piękną kobietą?

Eve wiedziała, że powinien ją ucieszyć ten komplement, ale podejrzewała, że Matt po prostu chce ją podnieść na duchu. Pominęła milczeniem jego uwagę i zajęła się jedzeniem.

Matt wynajdywał tysiące powodów, by opóźnić wyjazd na farmę. Gdy wreszcie późnym popołudniem zajechali pod dom Eve, na podjeździe stało kilka ciężarówek i samochodów osobowych.

Zdumiona Eve szybko wysiadła z auta i stanęła jak wryta.

- Na litość boską, co oni zrobili?! - wykrzyknęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cherokee Pete włożył ręce do kieszeni i zakołysał się na obcasach.

- Eve, jak ci się podoba twój nowy dach?

- Szczerze mówiąc, jestem oszołomiona. - Eve z trudem sformułowała sensowną odpowiedź.

- Ja też jestem pod wrażeniem - powiedział Pete. - Jeden ze znajomych Matta i Jacksona jest właścicielem firmy budowlanej i podesłał nam kilku swoich ludzi. Zostało mu w magazynie trochę materiału z poprzedniego zlecenia. Chyba nie masz nic przeciwko niebieskiemu dachowi? Weź też pod uwagę, że metal jest o wiele trwalszy niż drewno. Bębnienie deszczu o blachę to najpiękniejsza symfonia.

- Dach jest wspaniały, ale to musiało sporo kosztować.

- Najlepsza wiadomość na koniec! - Pete uśmiechnął się szelmowsko. - Ten facet był winien moim chłopcom przysługę i nie wziął za to ani grosza. Jimmy i Buddy odwieźli deszczułki do sklepu, w którym je kupiłaś, i wymienili na farbę i suchy tynk na sufit. Na progu stanęła Irish.

- Czołem, siostrzyczko. Musisz obejrzeć kuchnię. Sama wybrałam ten kolor, mam nadzieję, że ci się spodoba. Nie zdążyliśmy odnowić szafek, ale zrobimy to później. Kyle i Jackson właśnie kończą sprzątanie. Matt, jak twoja noga?

- Można wytrzymać - odpowiedział nonszalancko. Gdy wszyscy troje weszli do kuchni, Eve znów nie mogła uwierzyć własnym oczom. Sufit był zreperowany i pomalowany na białe, zaś ściany lśniły kremową farbą.

- Podoba ci się? - spytała Irish z niepokojem.

- Fantastycznie! Jak ja się wam odwdzięczę?

- Matt - odezwał się Jackson, schodząc powoli z drabiny - przemów wreszcie do rozumu tej małej Jankesce. Oni tam na Północy naprawdę nie wiedzą, co to jest pomoc sąsiadka. Pomachanie pędzlem to naprawdę nic wielkiego.

- Słusznie nazwałeś to machaniem - wtrącił się Kyle. - Dobrze, że zdążyłem na czas, by poprawić wszystkie twoje niedoróbki.

- Uważaj, co mówisz, doktoru - zareagował natychmiast Jackson. - Maluję dwa razy lepiej od ciebie.

- Chyba tylko w swoich marzeniach.

- Uspokójcie się! - wtrąciła się roześmiana Irish. - Pospiesz się, Kyle, bo za dwie godziny mamy być na przyjęciu. Zadzwoń do ciebie jutro - zwróciła się do siostry i pocałowała ją w policzek.

W ciągu kilku minut prawie wszyscy odjechali, z wyjątkiem Matta, Jacksona i Pete'a. Jackson rozsiadł się na werandzie z piwem w rękę i wdał się w długą pogawędkę z bratem, natomiast Pete pomógł Eve wydoić krowę i oporządzić pozostałe zwierzęta. Gomez najwyraźniej poczuł wielką sympatię do starszego pana, bo nie odstępował go ani na krok.

- Co robisz z tym mlekiem? - zapytał Pete.

- Część zużywam, a resztę muszę wylewać, bo moi sąsiedzi mają własne krowy.

- Myślałaś kiedyś o robieniu masła? Założę się, że domowe masło świetnie by się sprzedawało w moim sklepie. Szczerze mówiąc, sam za takim masłem przepadam.

- To wspaniały pomysł, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

- To nic trudnego. Poproszę któregoś z chłopców, żeby podrzucił ci maślnicę i tłuczek. A Alma Jane na pewno chemie udzieli ci kilku wskazówek.

- Świetnie. Kto to jest Alma Jane?

- Pracuje u mnie w sklepie. Jest znakomitą kucharką, ale gulasz zawsze gotuję sam.

- Naprawdę? To było bardzo pikantne danie. Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc. Naprawdę chciałabym się jakoś odwdzińczyć.

- Wystarczą mi zwykłe podziękowania. Chociaż... Wiesz co? Mogłabyś mi wyświadczyć maleńką przysługę.

- Dla ciebie wszystko.

- Zdaje się, że Matt nie czuje się zbyt dobrze. Znam go i wiem, że nadrabia miną. Myślę, że nie powinien wracać dzisiaj do pustego domu. Ktoś powinien się nim zająć przez najbliższe dwa dni i dopilnować, żeby brał lekarstwa.

- Masz rację. Namówię go, żeby przenocował w pokoju gościnnym. Nie martw się, wszystkiego dopilnuję.

- Wiem, że można na tobie polegać.

Pete uśmiechnął się łobuzersko i ruszył w kierunku domu, wesoło pogwizdując.

Pete i Jackson załadowali rzeczy na ciężarówkę i zaczęli szykować się do odjazdu. Gomez natychmiast ustawił się przy drzwiczkach samochodu i zaczął przeraźliwie wyć.

- Chyba chce się z tobą zabrać - powiedziała Eve.

- Nie ma sprawy! Bardzo go polubiłem.

- Muszę cię jednak ostrzec, że uwielbia robić podkopy i ma bardzo niezależną naturę.

Pete zaśmiał się.

- A zatem jesteśmy pokrewnymi duszami. - Otworzył drzwi i zwrócił się do Gomeza: - Jedziesz ze mną, stary?

Pies bez chwili wahania wskoczył do środka. Eve mogłaby przysiąc, że jego pocziwy pysk rozciągnął się w szerokim uśmiechu.

O zmroku Matt siedział w kuchni z nogą opartą na miękkim krześle. Na kolanach usadowiła mu się spragniona pieszczoł Pansy. Bezwiednie drapał kotkę pod brodą, lecz wzrokiem pochłaniał Eve. Krzątała się energicznie po kuchni,

przygotowując spaghetti i sałatę. W piekarniku rumienił się domowy chleb.

Matt po raz kolejny doszedł do wniosku, że Eve jest niezwykłym zjawiskiem. Była seksowna, inteligentna i niezależna, po prostu bez skazy. Nawet bez makijażu i ze zmierzwionymi włosami wydawała mu się najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Chciałby codziennie budzić się przy niej - i ta myśl zaprzętała go niemal bez reszty.

- Jesteś gotowy? - Głos Eve wyrwał go z zadumy.

- Oczywiście, powiedz tylko, kiedy.

- Mam na myśli kolację, a o czym ty myślałeś? - Eve uśmiechnęła się.

- Możemy zacząć od kolacji - zgodził się pokornie Matt.

Zjedli w kuchni, która po remoncie wprost pachniała świeżością. Eve była świetną kucharką i Matt dwa razy brał dokładkę.

- Masz ochotę na deser?

- Może za godzinę. - Matt wymownie poklepał się po brzuchu.

- Pora na twój antybiotyk. Weźmiesz też proszek przeciwbólowy?

Skinął potakująco głową.

Gdy Eve wstała, by posprzątać ze stołu, Matt natychmiast się zerwał, by jej pomóc.

- Siadaj! Musisz oszczędzać nogę - powstrzymała go Eve.

- Aniele, to nic wielkiego. Podczas gry w piłkę zdarzały mi się o wiele gorsze kontuzje.

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Koniec dyskusji! Obiecałam twojemu dziadkowi, że się tobą zajmę, i dotrzymam słowa. Siadaj natychmiast!

Jakby dla podkreślenia słów Eve, siedzący pod stołem Charlie miauknął donośnie.

- Tak jest, proszę pani! - Matt zsalutował i posłusznie usiadł na krześle.

W duchu pobłogosławił dziadka Pete'a za domyślność i dobre serce. Dzięki temu będzie mógł spędzić z Eve kilka dni i nocy. A jeśli wykaże się mądrością, panna Ellison sama będzie nalegała na to, by został u niej dłużej. Trzeba tylko dopilnować, by Kyle się nie wygadał. Tak naprawdę bowiem groźnie wyglądająca rana okazała się zwykłym skaleczeniem.

Patrzył na krzątającą się Eve i smakował każdy szczegół tego wspaniałego obrazu. Podziwiał jej piękne dłonie, szczupłe palce, łabędzią szyję...

Potem długo siedzieli na werandzie, rozmawiając i wpatrując się w gwiazdy. Charlotte ułożyła łeb na kolanach Matta, domagając się pieszczot. Był zadowolony, że wszystkie zwierzaki Eve zaakceptowały go i polubiły. Tym łatwiej będzie mu zdobyć serce ich pani.

- Czy będziesz się czuł na siłach, by w przyszłym tygodniu wybrać się ze mną w podróż?

- W podróż?

- Nalegałeś przecież, żebym sama zobaczyła, jak działają twoje linie lotnicze.

- Ach, o to ci chodzi. - Matt niemal zapomniał o swojej propozycji. - Nie ma problemu! Kyle powiedział, że wystarczą mi dwa dni odpoczynku.

- A skoro już o tym mowa, to chyba powinieneś już pójść do łóżka.

- A ty? - zapytał nienaturalnie niskim głosem.

- Ja też jestem zmęczona.

Weszli do środka, otoczeni zwierzętami, które natychmiast zaczęły się mościć na swoich ulubionych miejscach. Eve zamknęła frontowe drzwi i odprowadziła Matta do pokoju gościnnego.

- Dobranoc - szepnęła i uniosła nieco głowę.

Matt potraktował to jako zachętę i natychmiast zaczął całować Eve.

Gdy westchnęła i poddała się jego pieścizotom, przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- Zostań ze mną dziś w nocy - szepnął.

- Nie mogę! Twoja noga...

- Do diabła z moją nogą. Eve, pragnę cię aż do bólu...

Poczuł, że dziewczyna jest bardzo spięta. Stanowczo pokręciła głową i powiedziała:

- Nie jestem jeszcze na to gotowa. I może nigdy nie będę. Unikam przypadkowych związków...

- Eve, nie chodzi mi o szybki numer! - krzyknął Matt.

Bowie warknął, Lucy zjeżyła sierść, a Charlie prychnął.

- Toreador! - ryknął na cały głos Caruso, a spłoszone Pansy i Minerwa skryły się za fotelem.

- Przepraszam. - Matt zniżył głos niemal do szeptu. - Aniele, przecież poprosiłem cię o rękę. Mówię serio, wyjdź za mnie. Dzisiaj, jutro, kiedy tylko chcesz.

- Matt, nie wygłupiaj się! Mało się znamy. Zupełnie do siebie nie pasujemy. Jesteś dla mnie za przystojny i zbyt wyrafinowany.

- Na litość boską, Eve, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie jestem przystojny, a już na pewno nie jestem wyrafinowany. Świetnie do siebie pasujemy, z jednym zastrzeżeniem: to ty jesteś zbyt piękna. Pewnie będę musiał strzelbą odpędzać tłumy ganiających za tobą facetów. Czy mówiłem ci już, że jestem potwornie zazdrosny?

Eve roześmiała się.

- Matt, wiesz, jak zawrócić w głowie dziewczynie. Gdybym nie miała pewności, że żartujesz... - Westchnęła.

- Kochanie, jestem śmiertelnie poważny. Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, miałem wrażenie, że same niebiosy postawiły na mej drodze anioła.

Nagle Eve rozpaczliwie zapragnęła uwierzyć w te słowa. Mattowi prawie udało się ją przekonać o tym, że jest wyjątkowo piękną i pociągającą kobietą. Wlepiała wzrok w czubki butów i z determinacją w głosie powiedziała to, co, jej zdaniem, powinna:

- Posłuchaj, Matt. Doceniam twoje zainteresowanie moją osobą i przez chwilę poczułam się kimś naprawdę wyjątkowym. Nie sądzę jednak, by mogło się nam udać. Nie pasujemy do siebie. Poza tym nie zapominaj, że pracujemy razem i nie powinnam wdawać się w żadne osobiste układy z klientem. - Na chwilę zamilkła, by uspokoić drżący głos. - No i jest jeszcze jedna sprawa, chyba nawet ważniejsza. Staliśmy się właściwie krewnymi i dlatego sądzę, że powinniśmy pozostać przyjaciółmi. Zgoda? - Wyciągnęła rękę do Matta.

Ujął jej dłoń i przycisnął ją do warg.

- Postaram się, ale niczego nie mogę obiecać.

Eve wyrwała gwałtownie dłoń, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Matt leżał w łóżku z rękami założonymi pod głowę. Bezskutecznie próbował zasnąć.

Pożądał Eve tak bardzo, że nie mógł myśleć o niczym innym. Czuł jej zapach. Był to cudowny aromat dzikich kwiatów i świeżego chleba.

Wyśmiała jego propozycję. Cholera! Dwa razy poprosił ją o rękę, a ona nie potraktowała tego serio. Zaczął podejrzewać, że jej niedostępność i pozorny chłód wynikają z potężnego kompleksu niższości. Rozpoznawał te objawy, gdyż sam miał swego czasu podobne problemy. Musiał istnieć jakiś sposób, by przekonać Eve o tym, że naprawdę oszalał na jej punkcie.

Czuł, że nie jest jej obojętny; prawdę mówiąc, był tego pewien.

Postanowił użyć wszelkich sposobów, by ją zdobyć. Gdy otworzyły się drzwi, z nadzieją podniósł głowę. W progu stała

Eve. Padające z korytarza światło opromieniało jej postać złocistą aurą.

- Matt... - szepnęła, a on usiadł gwałtownie, gotów natychmiast pochwycić ją w ramiona. - ...zapomniałeś wziąć proszek.

Potworny, ochrypliły skrzek wyrwał Matta z płytkiego snu. Czyżby to był Caruso? Chyba nie, bo zaraz potem rozległ się z salonu wesoły śpiew gwarka:

- Figaro, Figaro, Figa - ro!

Co prawda repertuar Carusa ograniczał się do tych nieznośnych, pompatycznych arii operowych, ale przynajmniej ptak nie fałszował. Matt postanowił nauczyć pierzastego przyjaciela kilku porządnych piosenek country.

W ciemnościach ponownie rozległ się nieprzyjemny dźwięk.

Pianie koguta! Czy to cholerne ptaszysko nie wie, że jest środek nocy? Matt przewrócił się na bok i jęknął. Pansy, której jakoś udało się wkraść do jego pokoju, fuknęła z oburzeniem i przytuliła się do jego pleców.

Matta rozboleła noga, a gardło miał wyschnięte na wiór. Pokuśtykał do łazienki, by napić się wody, a przy okazji zażyć środek przeciwbólowy. Potem powlókł się z powrotem do łóżka, zdecydowany za wszelką cenę zasnąć. Naciągnął kołdrę na głowę i zacisnął powieki.

Eve była wściekła na Winstona Churchilla i Carusa. Miała nadzieję, że Mattowi udało się zasnąć pomimo nocnego koncertu. Niestety, kogut był istotą zupełnie nieprzewidywalną i nigdy nie było wiadomo, kiedy zacznie pisać. Wypuściła Minerwę i psy na zewnątrz i przeszła na palcach do pokoju gościnnego. Matt leżał nieruchomo, przykryty od stóp do głów kołdrą. Po cichu wycofała się do kuchni.

Po remoncie pomieszczenie wydawało się większe i jaśniejsze. Eve nalała sobie do filiżanki kawy i z niesmakiem popatrzyła na stare szafki i zniszczone linoleum.

Gdyby wzięła się teraz do malowania, do wieczora szafki powinny wyschnąć.

Jeszcze raz zajrzała do pokoju gościnnego, lecz Matt nadal nie dawał znaku życia.

Energicznie zabrała się do pracy.

Gdy Matt pojawił się w kuchni z nieco nieprzytomnym wzrokiem i zmierzwionymi włosami, Eve już prawie uporała się ze wszystkim.

- Co ty wyprawiasz? I która jest godzina? - spytał ochryłym głosem.

Eve roześmiała się.

- Dochodzi jedenasta, a ja maluję szafki. Chyba przydałaby ci się filiżanka mocnej kawy. Siadaj, zaraz ci ją podam.

- Aniele, nie jestem inwalidą. Mogę sam... - Groźny wzrok Eve powstrzymał go przed dokończeniem zdania. - Tak jest, proszę pani! - krzyknął i posłusznie usiadł.

Eve zmusiła go, by ułożył nogę na krześle, i po chwili przyniosła mu kawę.

- Proszę. Zostały mi jeszcze jedno drzwiczki do pomalowania, a potem zrobię coś do jedzenia. Co powiesz na francuskie grzanki i naleśniki z syropem klonowym?

- Brzmi wspaniale. Uważaj, bo się przyzwyczaję.

- Spokojnie! Kiedy twoja noga się zagoi, będziesz znów zdany tylko na siebie.

Podczas posiłku Eve przeżywała trudne chwile. Powinna poprosić Matta, by włożył koszulę, ale nie chciała wyjść na pruderyjną panią. Gwałtownie odłożyła widelec i zerwała się z krzesła.

- Przepraszam, ale przypomniałam sobie, że mam coś pilnego do zrobienia. Zaraz wracam.

Wybiegła z domu w takim pośpiechu, jakby goniła ją wataha wygłodniałych wilków. Znalazła się w potrzasku. Jak mogła zachowywać się naturalnie przy mężczyźnie, z którym tak bardzo pragnęła pójść do łóżka? A czekał ich jeszcze wspólny dzień i kolejna noc...

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Czy to już jest masło? - zapytał Matt z nadzieją, spoglądając bezradnie znad maślnicy.

- Mnie pytasz? Wiem tylko tyle, ile wyczytałam w przepisie.

Eve odłożyła pędzel, zeszła z drabiny i ponownie spojrzała na skrawek papieru.

Jeden z ludzi Jacksona przywiózł koło południa wysoką maślnicę, drewniany tłuczek i prasę oraz kartkę pokrytą delikatnym niczym pajęczyna pismem.

Zgodnie ze wskazówkami Pete'a, Eve zagęściła mleko tłustą śmietaną i zostawiła na noc. Gdy mleko się zsiadło, przelała je do maślnicy, a Matt ochoczo zabrał się do pracy, podczas gdy Eve kończyła malowanie szafek.

Maślnica przykryta była wiekiem z wyciętym otworem, do którego wkładało się tłuczek. Masło należało ubijać równomiernymi ruchami w górę i w dół.

Eve ostrożnie uniosła wieko i zajrzała do środka.

- No i co? - dopytywał się niecierpliwie Matt.

- Ubijaj dalej - rozwiąła jego nadzieje. Matt westchnął ciężko.

- A może podjadę do sklepu i kupię kilka kilogramów masła?

- No co ty, to nie to samo. Nie chcę zawieść Pete'a, a poza tym i tak by się zorientował.

Po piętnastu minutach Matt otarł pot z czoła i wysapał:

- Sprawdź teraz, bo coraz ciężiej mi ubijać. Eve przyklękła przy maślnicy i uniosła wieko.

- Wyjmij pomалу tłuczek - zakomenderowała.

Gdy na zewnątrz wytrysnęła żółta, miękka masa, Eve aż pisnęła z radości:

- Udało nam się! To prawdziwe masło. Matt nabrał trochę masy na palec i spróbował.

- Wspaniale!

Wśród śmiechów i przekomarzań umieścili masę pod prasą i uformowali zgrabne trójkąciki z kwiatuszkiem na wierzchu. Po zważeniu okazało się, że zrobili ponad półtora kilograma masła.

- Kilogram będzie dla Pete'a, a z reszty zrobię herbatniki - oznajmiła Eve radośnie.

- Umiesz piec herbatniki? - spytał Matt, a na jego twarzy zagościł wyraz niekłamanego zachwytu.

Matt posmarował grubo masłem herbatnik i pochłonął go jednym kęsem.

- Dziadek Pete miał rację! Nie ma to jak domowe masło!
Eve roześmiała się.

- Świetnie się spisałeś.

Napiął mięśnie i przybrał pozę kulturysty.

- Oto ja, Zwycięski Tłuczek!

- Mam nadzieję, że nie przewróci ci się w głowie. - Eve przywołała go żartobliwie do porządku. - Muszę zawieźć masło do Pete'a i odebrać Gomeza. Czujesz się na siłach, żeby mi towarzyszyć?

- Pewnie. Nigdy nie byłeś w centrum handlowym dziadka?

- Nie, ale Irish mi je opisała. Podobno na dole można kupić wszystko, czego dusza zapragnie, a na górze jest mieszkanie Pete'a. Wspominała też o dość niezwykłych domkach do wynajęcia.

- O ile za takie uważasz wigwamy pomalowane na wyjątkowo jaskrawe kolory. Może ja poprowadzę?

- Nie ma mowy! Masz chorą nogę. Zapomniałeś?

- No, tak.

Matt wsparł się mocno na Eve i efektownie kulejąc, ruszył do wyjścia.

- Przez cały czas byłam przekonana, że zraniłeś się w drugą nogę - stwierdziła Eve, unosząc wysoko brwi.

Matt natychmiast zmienił sposób kuśtykania.

- Ten ból promieniuje.

Eve spojrzała na niego uważnie, lecz na twarzy Matta malował się wyraz niezmałowanej niewinności. Po raz kolejny pomyślała, że ten Teksaszczyk ma przepiękne oczy, seksowne i pełne wyrazu. Zapraszające do grzechu.

Gdy Matt niby przypadkiem musnął jej pierś, Eve spojrzała na niego karcąco. Lecz i tym razem Crow zdołał szybko przywdziać maskę niewinnego chłopca.

- Przestań! - warknęła.

- O co ci chodzi, aniele?

- Dobrze wiesz, a poza tym przestań nazywać mnie aniołem.

Kiedy jego dłoń ponownie powędrowała w stronę piersi Eve, dziewczyna zeszywniała.

- Tym razem nie uwierzę, że robisz to niechcący.

- Całą noc o tym marzyłem - przyznał ochryple. - I o tym, żeby cię pocałować, właśnie tutaj. - Przytulił Eve i przywarł wargami do jej szyi. - Jak ci się to podoba? - spytał.

- Jest bosko...

- Mam przestać?

- Jeszcze nie...

Ich niecierpliwe usta spotkały się, a oddechy stały się gorące i ciężkie. Psy zaczęły powarkować, Minerwa pochrząkiwała. Również Caruso stanął na wysokości zadania, odśpiewał bowiem piękną arię operową sopranem tak czystym i donośnym, że niemal zadrżały szyby w oknach. Z dworu dobiegł odgłos trzaśnięcia drzwiczek samochodowych.

Eve próbowała odepchnąć Matta, lecz on trzymał ją mocno w ramionach.

- Ktoś przyjechał - szepnęła zmieszana.

- Każ mu iść do diabła. - Matt ponownie zabrał się do całowania.

- Jest tu kto? - rozległ się znajomy żeński głos.

W chwilę potem czyjaś niecierpliwa dłoń zastukała gwałtownie w drzwi.

- Eve, co z tobą?

- Wchodźcie! - krzyknęła Eve do Irish i Kyle'a. Potem przywołała na twarz uśmiech, poprawiła włosy i poszła przywitać się z siostrą i szwagrem.

- Witam! Co was do mnie sprowadza?

- Jechaliśmy ze sklepu z antykami, kiedy zerwała się ulewa. Postanowiliśmy wstąpić i poczekać, aż poprawi się pogoda.

Irish strząsnęła krople deszczu z olbrzymiego czerwonego parasola i powiesiła go na oparciu krzesła.

- Pada deszcz? - spytała zdumiona Eve.

- Leje! Nie zauważyliście? - roześmiała się Irish.

- To fatalnie - zmartwiła się Eve. - Właśnie mieliśmy zawieźć Pete'owi masło.

- Masło? - zapytał Kyle. Eve skinęła głową.

- Zrobiliśmy je razem, ja i Matt.

- Ty i Matt?

- Kochanie, przestań udawać papugę - ofuknęła Irish męża. - Eve, malowałaś?

- Już prawie skończyłam. A co, czuć ode mnie farbę?

- Tak, i masz pobrudzony policzek. - Irish uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Ciekawe, że Matt ma bliźniaczą plamę.

Eve poczuła, że się czerwieni. Szybko przetarła twarz rękawem koszuli i zmusiła się do odegrania roli przykładowej pani domu.

- Napijecie się kawy? Kyle, może mógłbyś obejrzeć nogę Matta. Bardzo go boli.

- Pewnie, zbadam go. I chętnie napiję się kawy. Ściągaj portki, Matt.

- Niech cię diabli, Kyle! - wrzasnął Matt.

- Uspokójcie się, chłopcy - zaśmiała się Irish, popychając Eve w kierunku kuchni. - Zaparz kawę, siostrzyczko, a ja obejrzę twoje dzieło. Podoba ci się farba, którą wybrałam?

Eve wyłączyła ekspres i włożyła do piekarnika następną blachę z herbatnikami. Potem zaczęła snuć przed siostrą plany prac remontowych. W końcu obie pograżyły się w dyskusji na temat wymiany podłóg i wyboru nowych zasłon do salonu.

Z powodu dzielącej je różnicy wieku siostry nigdy nie zdołały się zaprzyjaźnić. Gdy Eve była jeszcze pulchnym podlotkiem, Irish już robiła karierę modelki w Nowym Jorku. Dopiero teraz, gdy obie były dorosłymi kobietami, zaczęły się naprawdę poznawać. Co za szczęście, że los zaofiarował mi tę wspaniałą posadę w Teksasie, pomyślała Eve.

Kyle uważnie obejrzał szwy na nodze Matta.

- Wszystko w porządku, dobra robota, jeśli mogę się pochwalić. Ani śladu zakażenia, więc nie rozumiem, skąd te bóle.

- Szczerze mówiąc, chodzi o coś innego - przyznał skruszony Matt. - Potrzebuję wymówki, żeby dłużej pobyć u Eve.

- Ty stary zbereźniku! - roześmiał się Kyle. - To chyba właściwy moment, bym zapytał cię o zamiary, jakie żywisz w stosunku do mojej młodziutkiej szwagierki.

- Nie jest już taka smarkata i mam wobec niej poważne zamiary. Oszalałem na jej punkcie w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją na waszym ślubie.

- A co ona na to? - spytał Kyle. Matt wzruszył ramionami.

- Będę musiał trochę nad tym popracować, bo Eve nie traktuje mnie poważnie. Dlatego wynajduję różne preteksty, by spędzać z nią jak najwięcej czasu.

- Chwileczkę! Wydaje mi się, że Eve wspominała coś o projekcie kampanii reklamowej dla twoich linii lotniczych.

Cóż za dziwny zbieg okoliczności... - Kyle był wyraźnie zaniepokojony. - To chyba nie twoja sprawka, że Eve dostała tę pracę, co?

- Hm... No wiesz, ja... - Matt był bardzo zmieszany. Kyle potarł dłonią twarz i jęknął cicho.

- Stary, powiedz, że tego nie zrobiłeś.

Matt nie odpowiedział, lecz musiał go zdradzić wyraz twarzy, bo Kyle natychmiast przeszedł do ataku.

- Z wielu powodów, w które nie będę teraz wnikał, Eve jest bardzo czuła na punkcie swojej samodzielności. Obie z Irish nienawidzą kłamstwa, z tego powodu nieomal doszło między nami do zerwania. Jeśli chcesz mojej rady, lepiej od razu powiedz Eve prawdę.

- Uważasz zatem, że przesadziłem z tą bolącą nogą i powinienem się przyznać do kłamstwa? - zapytał Matt niewinnie.

- Nie udawaj idioty, Matt! Wiesz dobrze, o czym mówię.

- Kyle, proszę, nie wspominaj o tej rozmowie ani Irish, ani Eve. Potraktuj mnie jak pacjenta i dochowaj tajemnicy lekarskiej.

- Zrobię to, bo jesteś prawnikiem i musiałbym upaść na głowę, żeby z tobą zadzierać. Ale ostrzegam cię, jeżeli będziesz nadal okłamywał Eve, obróci się to przeciwko tobie. Wspomnisz moje słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W drzwiach pojawił się roześmiany Sam Marcus.

- Hej, szefowo, twój pojazd zajechał. Mam pomóc nosić bagaże?

Eve oderwała wzrok od papierów.

- Dziękuję, Sam. Powiedz, że zaraz schodzę. Muszę jeszcze to przeczytać.

Bryan po raz kolejny spóźnił się ze swoim tekstem. Czasami Eve zastanawiała się, czy jedynym celem tego człowieka nie jest przypadkiem komplikowanie życia nie lubianej szefowej. Choć z drugiej strony trzeba przyznać, że miała w tej chwili poważniejsze problemy. W ostatnim czasie przeczytała kilka artykułów na temat osób, które wplątały się w romans z klientami. Było to równoznaczne z zawodową śmiercią. Jednak pomimo wszystkich racjonalnych argumentów nie mogła przestać myśleć o swoim przystojnym zleceniodawcy.

Z trudem powstrzymała się przed tym, by nie pójść z nim do łóżka. Poczowała ulgę, gdy w poniedziałek Matt pojechał odwieźć masło do Pete'a, a ona poszła do pracy.

Nie widziała go już od dwóch dni, lecz dzwonił dość często. Eve zawsze kierowała rozmowę na tematy zawodowe i odmawiała wspólnych wyjść na kolację, do teatru czy na mecz.

I potwornie za nim tęskniła.

- Ziemia do Eve! Ziemia do Eve!

Zamyślona Eve wzdrygnęła się lekko i uniosła wzrok. Tuż przed jej biurkiem stała Nancy.

- Przepraszam, trochę się rozmarzyłam.

- Skarbie, gdybym to ja wybierała się na romantyczną przejażdżkę z takim przystojniakiem, też popuściłabym wodze fantazji - roześmiała się Nancy. - Matt jest nie tylko zabójczo przystojny, ale również bardzo miły. Czy wiesz, że od pięciu

lat znajduje się na liście dziesięciu najbardziej atrakcyjnych kawalerów w Dallas? Widziałam nawet kiedyś jego zdjęcie w gazecie. Pochodziło z balu dobroczynnego, na którym był z jakąś gwiazdą filmową.

Słowa Nancy zraniły Eve do tego stopnia, że poczuła niemal fizyczny ból.

- Candy ma numer mojego pagera. Zadzwoń do was jutro, ale gdyby coś się działo, natychmiast mnie zawiadomcie. - Eve skierowała rozmowę na bezpieczniejsze tematy.

- Nie martw się, poradzimy sobie - uspokajała ją Nancy. - Pozwól, że cię odprowadzę.

Eve była bardzo podekscytowana tym, że przez kilka dni będzie podróżować samolotami po Teksasie w towarzystwie Matta. Z drugiej strony jednak była pełna obaw.

Wyprostowała się, obciągnęła żakiet i mszyła energicznie w stronę wyjścia.

- Uśmiechnij się! Masz minę, jakbyś szła na ścięcie - powiedziała Nancy.

- Bo może idę. Trzymaj kciuki, żeby wszystko poszło dobrze. Nie chciałabym stracić tego zamówienia.

Eve zmusiła się do śmiechu, który zabrzmiał jednak nieco sztucznie.

- Spokojnie. Myślę, że pan Crow ma do ciebie słabość. Wykorzystaj swoją szansę, kochanie - paplała Nancy.

Przy wyjściu czekał wysoki, jasnowłosy mężczyzna w kowbojskim kapeluszu.

- Panna Ellison? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Jestem Billy Don Durham - przedstawił się z ujmującym uśmiechem. - Proszę za mną. Zawiozę panią do Love (Love (ang.) - miłość (przyp. red.)).

- Co takiego?! - Eve poczuła, że cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Tak się nazywa lotnisko, z którego latamy. O tej porze dojedziemy tam za pięć minut. To bardzo wygodne dla naszych klientów. Cenią nas również za to, że zapewniamy im przyjazną atmosferę, no i jesteśmy jedną z najbezpieczniejszych linii.

Eve szybko wzięła się w garść, lecz widocznie jej zmieszanie nie uszło uwagi Nancy, bo chichotała złośliwie i bez skrępowania.

- Miło cię poznać, Billy Don. Nancy, zanotuj dane na temat tego lotniska. Wykorzystamy je w kampanii reklamowej.

- Tak jest! - krzyknęła z entuzjazmem Nancy, z trudem zachowując powagę.

- Tędy, proszę pani. - Billy Don wskazał drogę. Matt proponował, że odwiezie ją osobiście, lecz Eve odmówiła pod pozorem, że chciałaby samodzielnie wyrobić sobie zdanie o pracownikach Crow Airlines. Po długich dyskusjach uzgodnili, że przyjedzie po nią samochód z kierowcą.

Po kilku minutach rzeczywiście dotarli na lotnisko. Pracowników Matta można było natychmiast rozpoznać po stroju. Nosili dżinsy, białe koszule z emblematem kruka na kieszonce i czarne kowbojskie kapelusze. I wszyscy promiennie się uśmiechali.

- Dzień dobry pani - powitał Eve mężczyzna przy odprawie bagażu. - Dziękujemy, że wybrała pani nasze linie lotnicze. Dokąd się pani wybiera?

- Do Houston - powiedziała, podając mu bilet.

- Proszę iść wzdłuż tej żółtej linii do wyjścia numer pięć. Życzę miłego dnia.

- Dziękuję - odparła Eve z uśmiechem.

Kobieta przy odprawie biletowej ubrana była w białą - niebieską bluzkę i niebieski kowbojski kapelusz. Również ona serdecznie powitała Eve.

- Dzień dobry. Cieszę się, że wybrała pani nasze linie lotnicze. W Houston jest dziś cudowna pogoda. Lot potrwa około czterdziestu pięciu minut. Oto pani karta pokładowa. Miejsca nie są numerowane. Proszę tylko obiecać, że nie usiądzie pani na kolanach jakiemuś przystojniakowi. - Kobieta uśmiechnęła się i mrugnęła znacząco.

- Obiecuję - przyrzekła Eve. - Nie numerujecie miejsc?

- Nie. Ale dostarczymy panią na miejsce bezpiecznie, tanio i szybko. Na pewno będzie pani zadowolona. Chciałam jeszcze uprzedzić, że nie podajemy pasażerom kawy. Oferujemy tylko zimne napoje i wodę.

Eve rozejrzała się w poszukiwaniu Matta, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Usiadła więc na plastikowym krzeselku i zaczęła czytać książkę, przytupując od czasu do czasu w rytm płynącej z głośników muzyki country.

Kilka minut później w poczekalni pojawił się młody blondyn w dżinsach, białą - czerwonej koszuli i czerwonym kapeluszu kowbojskim. Włożył palce do ust, przeraźliwie gwizdnął i krzyknął na cały głos:

- Hej, ludziska! Kto z was leci do Houston, proszę za mną!

Eve rozejrzała się wokół, ale wciąż nie mogła nigdzie dostrzec Matta. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna na niego poczekać. Po chwili jednak zrezygnowała z tego pomysłu.

Zauważyła Matta dopiero po wejściu do samolotu. Uśmiechnął się szelmowsko i pomachał do niej.

- Trzymałem to miejsce specjalnie dla pani.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony.

Gdy Eve ułożyła się wygodnie w fotelu, Matt zapytał:

- Jak pierwsze wrażenia?

- Wspaniale. Kiedy startujemy?

- Za siedem i pół minuty - odpowiedział, zerkając na zegarek. - Mogę się założyć, że Billy Don ruszy na pas startowy z dokładnością do pół sekundy. Moi ludzie znajdują się na robocie.

- Billy Don? Czy to on...

- Kapitan Billy Don Durham to mój najlepszy pilot. Mam do niego bezgraniczne zaufanie.

- Poprosiłeś pilota, żeby mnie odwiózł na lotnisko?

Matt wzruszył ramionami.

- Było mu po drodze.

Tak jak przepowiedział Matt, start odbył się o czasie.

Gdy samolot wzbił się nieco wyżej, rudowłosa hostessa zaczęła rozdawać pasażerom paczuszki z ziarnami słonecznika i napoje.

- Dlaczego nie podajecie na pokładzie alkoholu? - spytała Eve, popijając sok jabłkowy.

- Z wielu powodów. Liczy się czas i pieniądze. Latamy na krótkich trasach, a na wszystkich lotniskach są bary. Dzięki temu sporo oszczędzamy, bo nie musimy zaopatrywać się w lód, szklaneczki, i tak dalej. Myślę, że dla naszych klientów ważniejsze jest to, że utrzymujemy niskie ceny biletów, a uzyskane kwoty przeznaczamy na szkolenie personelu.

- To brzmi sensownie. Jestem pod wrażeniem.

- Mówi kapitan Billy Don Durham - rozległ się głos z interkomu. - Lecimy prosto do Houston, chyba że ktoś z was chce się zatrzymać na chwilę w Tyler. Nie? No dobra, to w takim razie, jeżeli Bóg nam dopomoże, a Indianie z plemienia Creek nie wywołają powstania, będziemy w Houston za dwadzieścia dwie minuty. Po lewej stronie możecie zobaczyć rzekę Trinity. Jeśli jesteście dość szybcy, to zauważycie, że Zeke Tatum wybrał się dziś na ryby. Po prawej widać farmę

knurów Russa McIvera. Za chwilę będziemy przelatywać nad Parkiem Narodowym Davy'ego Crocketta. Proszę pamiętać, że jesteśmy tu do waszej dyspozycji.

Eve roześmiała się.

- Czy wszyscy piloci to takie swojskie chłopaki?

- Niektórzy tak, niektórzy nie. Stawiamy przede wszystkim na bezpieczeństwo i punktualność. W innych dziedzinach pozwalamy sobie na różne szaleństwa.

Gdy po przylocie odebrali bagaże, Matt ze zdziwieniem popatrzył na dwie małe torby Eve.

- To wszystko? - zapytał zdziwiony.

Gdyby nie to, że Irish pomogła jej spakować walizki, Eve byłaby pewnie objuczona jak wielbłąd. Nie była zbyt doświadczonym podróżnikiem i dlatego chętnie skorzystała z rad siostry. Wspólnie wybrały dopasowaną pod względem koloru garderobę i uzupełniły ją stosownymi dodatkami.

Zdziwienie w głosie Matta sprawiło, że Eve poczuła się nieswojo.

- Coś nie tak? - spytała.

- Skądże - uspokoił ją z uśmiechem. - Po prostu po raz pierwszy widzę kobietę, która ma tak mały bagaż. Chodź, czeka na nas helikopter.

- Co takiego? - Eve ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

Podczas gdy boy prowadził ich do luksusowego apartamentu w hotelu Galleria, Matt uświadamiał sobie pomалу, że popełnił poważny błąd. Zamierzał olśnić Eve helikopterem, limuzyną i luksusowym pokojem. Planował zabrać ją na wystawną kolację do najlepszego lokalu w mieście.

Ona jednak wydawała się przerażona i spięta, co odzwierciedlało się w każdym jej ruchu.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

Apartament porażał przepychem. Antyczne meble, marmurowy kominek, piękne obrazy na ścianach. Na jednym ze stolików stała wielka waza ze świeżymi kwiatami.

Eve gorączkowo rozglądała się wokół, tak jakby spodziewała się, że za chwilę z jakiegoś zakamarka wyskoczy niebezpieczny morderca.

- Jest taki... wielki i wysoki. Chyba słyszę echo.

Matt patrzył, jak Eve z trudem przetyka ślinę, a potem z lekką paniką w oczach wpatruje się w olbrzymie pianino i monstrualnych rozmiarów kryształowy żyrandol.

- Nie podoba ci się tu - stwierdził Matt, niezadowolony sam z siebie.

Powinien był wiedzieć, że na Eve luksus nie wywrze żadnego wrażenia. Jak mógł zapomnieć, że jest inna niż kobiety, z którymi spotykał się w przeszłości.

I właśnie to najbardziej mu się w niej podobało.

Modlił się w duchu, by jego szczeniackie postępowanie nie zniszczyło ich ledwie kielkującego związku.

- Nie, tu jest bardzo ładnie. Teraz się rozpakuję, a potem może pójdziemy coś zjeść. Dokąd mnie zabierzesz?

Matt natychmiast zmienił swoje poprzednie plany.

- Zabrałaś ze sobą dzinsy? - Gdy Eve pokiwała głową, powiedział z uśmiechem: - Przebierz się, a ja zrobię ci niespodziankę.

Kiedy wychodził z jej pokoju, Eve wciąż stała na środku z opuszczonymi ramionami i smutnym spojrzeniem. Nie wiedział jeszcze, dokąd zabierze ją na lunch, ale postanowił szybko zasięgnąć języka. Chciał wynagrodzić Eve przykrość, na którą ją naraził.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lunch zjedli w małej restauracyjce, którą polecił Mattowi portier. Siedzieli na zdezelowanych krzesłach i przy odrapanym stole. Zjedli zupę z soczewicy i kanapki z pełnoziarnistego chleba, obłożone owczym serem i kiełkami. Zamiast wina zamówili mrożoną herbatę ziołową, a na deser Eve wybrała sałatkę owocową z rodzynkami. Matt musiał przyznać, że z wyjątkiem rodzynek, których nie cierpiał, jedzenie było wspaniałe. Największą przyjemność jednak sprawiła mu radość bijąca z twarzy Eve.

- Smakowało ci? - spytał.

- Wszystko było pyszne, ale chyba trochę przesadziłam. Prawie nie mogę się ruszać.

- Ale chyba dasz się jeszcze zaprosić na popcorn i watę cukrową?

- A dokąd idziemy? - Eve była wyraźnie zaintrygowana.

- Zobaczysz.

Jadąc samochodem, Matt nie zdradził ani słowem, dokąd się wybierają.

Gdy wjeżdżał na parking, Eve klasnęła w dłonie jak rozradowane dziecko.

- Wesołe miasteczko!

- Pomyślałem sobie, że chętnie się przejedziesz górską kolejką.

- Jasne! - krzyknęła. - Skąd wiedziałeś, że to lubię?

Matt wzruszył ramionami i stwierdził nonszalancko:

- Po prostu zgadłem. W tym parku jest jedenaście kolejek górskich, więc wypróbujemy wszystkie.

W duchu pobłogosławił Irish, że udzieliła mu tak cennych informacji.

Po kilku przejażdżkach Matt nie czuł się najlepiej, za to Eve była w swoim żywiole. Głośno się śmiała, a jej oczy błyszczały podnieceniem.

- Tu jest naprawdę cudownie! - krzyknęła, ujmując Matta pod ramię.

- Cieszę się, że ci się tu podoba. Takie duże kolejki są jeszcze w Dallas i San Antonio.

- Wiesz co, to podsunęło mi wspaniały pomysł na kampanię reklamową. Moglibyście organizować wycieczki do największych wesołych miasteczek w Teksasie.

- Nieźle to wymyśliłaś - przyznał Matt.

- A czy moglibyśmy jeszcze pójść na wodny tor przeszkód?

Eve nie pamiętała, kiedy ostatnio tak świetnie się bawiła. Wreszcie, nieco zmoczeni i wciąż roześmiani, ruszyli w drogę powrotną.

Matt nalegał, by przeprowadzili się do innego hotelu. Nie był nawet w połowie tak luksusowy jak poprzedni, lecz Eve podobał się o wiele bardziej, gdyż czuła się tu swobodniej.

Gdy tylko weszli do pokoju, Matt wziął ją w ramiona.

- Dobrze się bawiłaś?

- Fantastycznie. - Eve wytarła krople wody z brody Matta.

- Chyba powinniśmy wziąć prysznic.

- Jestem za. Z czyjej łazienki skorzystamy? - zapytał ze znaczącym uśmiechem.

- Każdy ze swojej. - Zręcznie wyślizgnęła się z jego ramion. - Dokąd pójdziemy na kolację? Muszę wiedzieć, jak się ubrać.

- No cóż... - Matta nagle opuściła pewność siebie. - A na co masz ochotę?

- A nie zrobiłaś nigdzie rezerwacji?

- Szczerze mówiąc, myślałam o „Cafe Annie's”. Mają tam pyszne jedzenie, ale możemy wybrać się gdzie indziej.

Tak naprawdę, Eve miała ochotę włożyć suche dzinsy i wybrać się do jakiejś małej knajpki na makaron z serem. Wiedziała jednak, że Matt zadał sobie wiele trudu, by

uprzyjemnić jej pobyt w Houston. Postanowiła zatem przystać na propozycję Matta, by nie sprawić mu przykrości. Może też nadszedł czas, by poszerzyć swoje horyzonty. Chyba nie bez kozery Irish tak często nazywała ją dzikuską.

- Wiesz co, chętnie tam pójde. Dużo czytałam o tym lokalu.

I była to prawda, chociaż Eve czuła lekki niepokój, bo mieli pójść do restauracji, w której bywała miejscowa elita. No cóż, przynajmniej będzie okazja, by włożyć suknię, którą pożyczyła jej Irish.

- Na pewno? - zapytał Matt.

- Oczywiście, o ile nie wstydzisz się tam ze mną pokazać.

- Oszalałaś?! Co też ci przyszło do głowy?

- Nie jestem zbyt obyta z wielkim światem. Na pewno wolisz się spotykać z innymi kobietami. - Eve nie mogła się pozbyć wrażenia, że plecie bzdury.

Zawstydzona, pochyliła głowę. Matt spojrzał jej prosto w oczy i zapytał z naciskiem:

- A jakie „inne kobiety” masz na myśli?

- No wiesz, te wszystkie pewne siebie, seksowne piękności.

- Cholera, Eve, jak mam cię przekonać, że to ty jesteś najwspanialsza. - Ujął ją za rękę i gwałtownie pociągnął w stronę wielkiego lustra. - Spójrz! - zażądał, stając tuż za nią. - Przypatrz się sobie uważnie i powiedz, co widzisz.

Eve zobaczyła obraz nędzy i rozpacz. Jej bluzka była mokra i pomięta, szminka rozmazana, a włosy sterczały na wszystkie strony.

- Jestem beznadziejna.

Matt otoczył jej talię ramieniem i spytał z naciskiem:

- Chcesz posłuchać mojego zdania?

- Nie jestem pewna.

- Widzę twarz anioła o wielkich, pięknych oczach koloru letniego nieba. Widzę pełne, wilgotne usta, która układają się w cudowny uśmiech. Chciałbym je bez końca całować. Widzę włosy, które błyszczą niczym promienie słońca. Podobają mi się zwłaszcza wtedy, kiedy są trochę rozwichrzane. Widzę kobietę o zgrabnej figurze i ciele stworzonym do miłości. I powinienem jeszcze dodać, że masz fantastyczne nogi. A twoje ręce... kocham ich kształt... i dotyk.

- Matt musnął pocałunkiem wnętrze dłoni Eve. - Jesteś nie tylko piękna, jesteś również bardzo pociągająca.

Eve przesłoniła oczy powiekami i poddała się urokowi słodkich słów. Rozpaczliwie pragnęła być piękna - dla Matta.

- Będę gotowa za czterdzieści minut - powiedziała głosem, który nawet jej samej wydawał się zbyt drżący.

Matt dumnie wypinał pierś, niczym zwycięski kogut. Gdy wkroczył z uwieszoną u jego ramienia Eve do restauracji, miał ochotę głośno i wyraźnie dać wszystkim do zrozumienia, że ta piękna kobieta należy do niego. Eve zawsze wyglądała cudownie, lecz dziś jej widok wprost zapierał dech w piersiach.

Była ubrana w sukienkę, którą zwykle nazywać się „małą czarną”. Wspaniałe blond włosy luźno spięła na czubku głowy. Skupiły się na niej zachwycone spojrzenia wszystkich obecnych w restauracji mężczyzn.

- Czy mówiłem ci już, jak pięknie wyglądasz? - zapytał Matt.

- Kilka razy. Uważaj, bo uwierzę - szepnęła.

Wyprostowała się i z gracją przedfilowała do zacisznego stolika, który dla nich zarezerwowano. Po drodze Matt skinieniem głowy pozdrowił kilku znajomych, lecz przy nikim nawet się nie zatrzymał.

- Co będziesz piła?

- Poproszę o wino, najlepiej białe.

- A może jakąś miejscową markę? Mają tu niezłą kuchnię, upewniłem się też, że w karcie jest kilka dań wegetariańskich.

- Kochany jesteś.

Gdy uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego dłoni, Matt miał ochotę zapać z radości. Zmrużył oczy i szepnął z szelmowskim uśmiechem:

- Święta prawda i radzę ci, nie zapominaj o tym.

Kolacja i wino były wspaniałe. Eve na początku wieczora czyniła nieśmiałe próby przedyskutowania z Mattem szczegółów dotyczących kampanii reklamowej, lecz on zniweczył te wysiłki, zamawiając kolejną butelkę wina i opowiadając następną zabawną historyjkę.

Pod koniec kolacji również Eve nie miała głowy do interesów.

Miło spędzony dzień i dobre wino sprawiły, że myśli dziewczyny poszybowały w rejony, których dotąd starannie unikała. Ścisnęła kurczowo kieliszek, starając się zapanować nad nawiedzającymi ją fantazjami erotycznymi.

Matt chyba doskonale wyczuł jej nastrój, albowiem w pewnym momencie cisnął na stół serwetkę, gwałtownie wstał od stołu i szepnął:

- Chodźmy stąd.

- Przecież jeszcze nie zapłaciliśmy - przypomniała mu Eve.

Bez słowa położył na stole zwitek banknotów, ujął Eve za łokieć i zdecydowanie pociągnął w stronę wyjścia. Z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Dokąd tak się spieszymy? - zapytała, gdy byli już na zewnątrz.

Nie odpowiedział, tylko leciutko popchnął ją w najbliższą bramę i żarliwie pocałował.

Po chwili ich pieszczoty stawały się coraz bardziej namiętne, a oni przestali zwracać uwagę na otaczający ich świat.

W pewnym momencie Matt ujął Eve za dłonie i pociągnął w stronę samochodu.

Tylko z powodu braku patroli policyjnych uniknęli mandatu za przekroczenie szybkości.

Gdy zamknęli za sobą drzwi pokoju, zaczęli zrywać z siebie ubranie, rozrzucając je bezładnie wokół. Nie dotarli nawet do sypialni, tylko opadli na dywan w salonie.

To był szybki, gorący i porażający seks.

Po chwilach upojonej rozkoszy Matt szeptał Eve do ucha czułe słowa miłości.

- Kocham cię - powtarzał raz po raz.

Nie uwierzyła mu, przyjmując jego słowa za zwyczajowy w takich sytuacjach rytuał. Lekko się skrzywiła.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony.

- Po prostu trochę mi niewygodnie na podłodze.

- Aniele, tak mi przykro. Nie mogę uwierzyć, że zachowałem się jak dzikus. Chciałem, by ten pierwszy raz wyglądał inaczej. Wymarzyłem sobie wielkie łóżko, jedwabną pościel, świece... - Matt miał minę zbitego psa.

- Było cudownie - uspokoiła go Eve, całując czule w policzek.

- Naprawdę? Następnym razem będę delikatniejszy. Chodź...

Pociągnął ją do sypialni. Powoli rozpuścił włosy Eve i pozwolił, by złociste loki spłynęły kaskadą na jej ramiona. Całował powoli kąciuki ust Eve, cały czas przekonując ją o swoim uczuciu.

- Matt, co my wyprawiamy? - szepnęła.

- To chyba oczywiste - odpowiedział z szelmowskim uśmiechem.

- To nierozsądne. Może wpłynąć na naszą współpracę zawodową.

- Mam przestać?

- Jeszcze nie teraz...

Matt najchętniej spędziłby następny dzień w łóżku z Eve, lecz ona przypomniła mu, że mają służbowe obowiązki. Z ociąganiem wstał i ubrał się.

Eve przyniosła z recepcji wielki stos folderów na temat miejscowych atrakcji turystycznych. Po ich przejrzeniu doszła do wniosku, że powinni odwiedzić ośrodek NASA.

W tej chwili Mattowi było w głowie zupełnie co innego. Sprawy firmy wydały mu się odległe i nieważne. Zaplanował tę podróż po to, by przekonać Eve o szczerości swoich uczuć. Nie chciał jednak, by się tego domyśliła.

- Dobry pomysł. A potem pojedziemy do Galveston. Zabrałaś kostium kąpielowy?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Nie szkodzi. Kupimy jakiś na miejscu.

W świetnych nastrojach wrzucili bagaże do samochodu i pomknęli na drogę wiodącą nad Zatokę Meksykańską. Cały poranek spędzili, zwiedzając okolice i muzea.

Podróż z ośrodka NASA do Galveston zajęła im pół godziny. W miarę zbliżania się do wybrzeża teren stawał się coraz bardziej płaski, a powietrze wilgotniejsze.

- Spójrz, jakie cudowne, stare domy! - krzyknęła Eve, gdy jechali nadmorskim bulwarem. - Niektóre chyba można zwiedzać.

- Chciałabyś? Nie ma problemu. Znajdziemy jakiś hotelik i przenocujemy tu.

- Ale przecież mieliśmy dziś po południu lecieć do San Antonio.

- Uprzedziłem sekretarkę, że zmieniliśmy plany. Polecimy tam jutro rano. Przyznałem się jej, że marzę o tym, by zobaczyć cię w kostiumie kąpielowym.

- Nie zrobiłeś tego! Co ona sobie pomyślała?

- Emily ma trzech synów i wnuka. To doświadczona kobieta. - Gdy czekali na zmianę świateł, Matt wybrał odpowiedni numer i rzucił do słuchawki telefonu komórkowego: - Cześć, cioteczko Em! Czy zarezerwowałaś nam jakiś hotel w Galveston? Przylecimy do San Antonio jutro rano. Jeszcze zadzwonię. Trzymaj się, dziecińko!

- Dziecińko? Tak zwracasz się do swojej sekretarki?

- Pewnie. Mówię na nią „cioteczka Em”, „dziecińka”, „pączuś”. Ona to uwielbia.

- Jestem zaszokowana. Podobne zachowanie mogłoby być poczytane za molestowanie seksualne.

- Nic podobnego! To tylko przejaw moich serdecznych uczuć. Ona jest naprawdę moją ciotką, młodszą siostrą ojca.

Eve zrobiło się głupio i natychmiast przeprosiła Matta za pochopne wyciąganie wniosków. A już myślała, że wreszcie znalazła jakąś skazę jego charakteru. Była w błędzie, albowiem pan Crow wydawał się chodzącym męskim ideałem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Hm... - mruknął Matt. - Okręć się dookoła. - Gdy Eve posłusznie wykonała polecenie, stwierdził bezradnie: - Nie mogę się zdecydować, w którym lepiej wyglądasz. Bierzemy oba.

- Mamy jeszcze wdzianka do tych kostiumów - powiedziała sprzedawczyni z nadzieją w głosie. - Podać państwu?

- Oczywiście - zgodził się szybko Matt, a gdy Eve usiłowała zaprotestować, machnął lekceważąco ręką i dodał: - Wpiszę to w koszta badań rynku mojej firmy.

- Nie sądzisz, że to trochę nieuczciwe? - zaniepokoiła się Eve.

- O to niech się martwi księgowy - odparł ze śmiechem.

Choć Eve wiedziała, że Matt żartuje, nie zamierzała dłużej z nim dyskutować. Miał w sobie tyle chłopięcego czaru, że trudno było mu się opierać. Poza tym któraż kobieta odmówiłaby sobie przyjemności kupna dwóch wspaniałych ciuchów?

Gdy wyszli z butik, pozwiedzali jeszcze trochę okolicę, a później utknęli na dłużej w tropikalnym parku, umieszczonym w budynku w kształcie olbrzymiej piramidy.

- To naprawdę niezwykle! - Eve z zachwytem oglądała egzotyczne rośliny i sztuczne wodospady.

Matt z przyjemnością obserwował jej niemal dziecięcy zachwyty. Wprost nie mogła oderwać oczu od różnokolorowych kwiatów i motyli.

Kilka tych przepięknych owadów obsiadło głowę Eve. Ich mieniające się kolorami tęczy skrzydła zdobiły jej twarz niczym czarodziejski diadem.

Matta ogarnęło rozczulenie. Podziwiał w Eve nie tylko urodę, lecz i zalety charakteru. Promieniujące od niej ciepło

przyciągało go jak magnes, zawładnęło nim całym, zawojowało jego serce i duszę.

- Wyjdź za mnie - szepnął.

Eve roześmiała się, a spłoszone motyle szybko odfrunęły, nerwowo trzepocząc opalizującymi skrzydełkami.

- Przestań się wygłupiać, Matt. Ciekawe, co byś zrobił, gdybym się zgodziła?

- Byłbym najszcześniejszym facetem w Teksasie albo i na całym świecie. Jak mam cię przekonać, że mówię poważnie?

Eve postanowiła zignorować to pytanie. Zapatrzyła się w parkę śnieżnobiałych kakadu i spytała:

- Ciekawe, jak się miewa Caruso? Gdy mnie nie ma długo w domu, staje się nerwowy.

- Nerwowy? - Matt aż zakrztusił się ze śmiechu. - To ptaszysko jest zupełnie pomyłone. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że wciąż sobie wyskubuje pióra?

- Weterynarz uważa, że to z powodu uczulenia, albo... - Eve zawahała się na chwilę - ... z powodu nerwicy.

- Czyli wyszło na moje.

Eve roześmiała się i oparła głowę na ramieniu Matta. Już dawno nie czuła się tak szczęśliwa.

Po zwiedzeniu parku tropikalnego poszli na plażę. Eve osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała na wodę.

- Dlaczego nikt nie pływa? - zdziwiła się.

- Widzisz te przezrocyste bąble na wodzie? To meduzy. Wydają się zupełnie niegroźne, ale trzeba ich unikać, bo mogą spowodować poważne oparzenia skóry. Mieliśmy kiedyś z Jacksonem taką przygodę w dzieciństwie i obaj wylądowaliśmy na pogotowiu.

- A więc raczej się nie wykąpię - stwierdziła Eve zdecydowanie.

Matt zdjął koszulkę i rozłożył na piasku ręcznik.

- Nasmarować cię emulsją? Masz jasną karnację, powinnaś więc uważać na słońce.

Gdy Matt rozprowadzał olejek po jej nogach i plecach, Eve przypomniała sobie ich wspólną noc. Dotyk jego dłoni był zarazem kojący i podniecający.

Nie chciała teraz myśleć o tym, co przyniesie przyszłość.

- A ty się nie smarujesz? - spytała Eve.

- Nie - odpowiedział z nutą przechwałki w głosie. - Jestem odporny na szkodliwe promieniowanie.

Matt zaklął cicho i wcisnął twarz w poduszkę, gdy Eve rozprowadzała po jego plecach krem z aloesu.

- To przyniesie ci ulgę. Gdzie podziała się twoja słynna odporność na słońce? - spytała ze śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne - jęknął Matt.

- Przepraszam! Wiem, że to nieprzyjemne. Teraz zajmę się twoimi nogami.

Nanosila krem delikatnymi ruchami, starannie omijając ranę na łydce.

- Kiedy zdejmą ci szwy? - zainteresowała się nagle.

- Natychmiast po powrocie.

- Czy zażywasz jeszcze lekarstwa? - Eve zaczęła nabierać pewnych podejrzeń.

- Dwa razy dziennie - przytaknął Matt.

Sięgnęła do saszetki, wyjęła lekarstwa i uważnie przeczytała etykiety.

- Tak jak przypuszczałam, podczas kuracji powinieneś unikać słońca.

- No dobrze, zrobiłem głupstwo - przyznał. - Czy mogłabyś mi jeszcze raz wysmarować plecy? O tak, właśnie tam. Aniele, twój dotyk jest cudowny.

Eve delikatnie musnęła ustami pieprzyk na plecach Matta i szepnęła:

- Odwróć się. Wysmaruję cię z przodu. Posłusznie wykonał polecenie. Przy obracaniu się na

plecy osłaniający go ręcznik zsunął się na podłogę. Eve spuściła skromnie oczy i starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie, zabrała się do smarowania klatki piersiowej Matta.

Udałoby jej się do końca odegrać rolę siostry miłosierdzia, gdyby nie to, że w pewnym momencie Matt odpiął jej stanik.

- Czy nie jest ci za gorąco? - szepnął.

- Ale twoje plecy...

- Będziemy bardzo ostrożni. No cóż, dzisiaj ty będziesz musiała wykazać się większą aktywnością.

Następnego dnia Eve milczała przez całą drogę na lotnisko w Houston. Milczała również podczas lotu do San Antonio. Matt kilkakrotnie z niepokojem dopytywał się o powody jej złego humoru, lecz zbywała go półsłówkami. Jak miała mu wytłumaczyć, że jest przerażona? Przerażona tym, że zakochała się w mężczyźnie jego pokroju.

Nękał ją obezwładniający strach, że ten romans na zawsze złamie jej serce.

Nie miała wątpliwości co do swojej oceny osoby Matta. Był chodzącym ideałem - przystojny, inteligentny, odnoszący sukcesy, miły i troskliwy. Po prostu wspaniały.

Choć Matt przekonywał ją, że jest najcudowniejszą kobietą na świecie, Eve wiedziała swoje. Gdy patrzyła w lustro, widziała zbyt wysokie, przestraszone, niepewne siebie dziwadło. Mieszkała na zrujnowanej, starej farmie w towarzystwie stadka przygarniętych zwierząt. Nie jeździła drogim samochodem i nie należała do żadnego elitarnego klubu. O wiele swobodniej czuła się w starych dzinsach i tenisówkach niż w szalowej kreacji i butach na obcasach. Co Matt ujrzał w kimś takim jak ona? To Irish była pięknnością,

pełną powabną kobietą, która w wielkim świecie czuła się jak ryba w wodzie.

Owszem, Eve uważała się za dość bystrą. Była też dobra w swoim zawodzie, lecz to jeszcze nie powód, by zakochał się w niej mężczyzna taki jak Matt.

Czy on ją naprawdę kocha?

A jeżeli tak, to za co?

Gdy spytała go o to wczoraj w nocy, roześmiał się tylko i powiedział:

- Kocham cię za to, jaka jesteś.

Ale to żadna odpowiedź, przyznała Eve w duchu i westchnęła ciężko.

- Kochanie, proszę, powiedz, co się stało? - przerwał jej rozmyślania Matt. - Dlaczego jesteś taka zamyślona i smutna?

- Czy ty mnie naprawdę kochasz?

- Szczerze, prawdziwie i z całego serca. Jesteś pierwszą kobietą, której się oświadczyłem. No, może drugą, bo już raz poprosiłem o rękę swoją koleżankę z drugiej klasy szkoły podstawowej. Zgodziła się za mnie wyjść, ale dwa tygodnie później przeprowadziła się do innego stanu.

- Ale z ciebie wariat! - Eve roześmiała się.

- No, nareszcie cię czymś rozbawiłem. Poprawił ci się już humor?

- Chyba byłem niezbyt miłą towarzyszką podróży, ale jestem w kropce. Ludzie nie zakochują się tak od razu. Udany związek wymaga czasu.

- Nie zawsze. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na weselu Irish i Kyle'a, wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona. Już wtedy ci się oświadczyłem, pamiętasz?

- Tak, ale to były tylko żarty. Przecież nawet mnie wtedy jeszcze nie znałeś. Zupełnie nie potrafię zrozumieć, co ty we mnie widzisz.

- Aniele, masz poważne problemy z prawidłową oceną własnej osoby. Będę musiał nad tym popracować i przekonać cię, że naprawdę jesteś kimś wyjątkowym.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Trochę tu niesamowicie - stwierdziła Eve, gdy stali z Mattem tuż obok sławnego kamiennego kościółka.

- Tak. Wszyscy, którzy oglądali film z Johnem Wayne'em, spodziewają się, że Alamo jest o wiele większe.

- To była taka straszna tragedia. - Eve poczuła, że do oczu napływają jej łzy. - Zginęło tylu wspaniałych ludzi.

Matt ujął jej dłoń i czule pocałował.

- Travis, dowódca obrony, nie był zbyt ciekawym facetem, ale nigdy nie mogłem znieść myśli, że zginął tu David Crockett.

- Oglądałeś w telewizji ten stary film?

- Tak, kiedy byłem małym chłopcem. Marzyliśmy z Jacksonem o tym, żeby też mieć takie traperskie czapki ze skórek. Kilka razy wybraliśmy się nawet na polowanie na niedźwiedzia, ale, dzięki Bogu, żadnego nie udało się nam wytropić. Jak wiesz, parki w Dallas nie obfitują w te zwierzęta.

Eve zachichotała. Ciepły wietrzyk poruszył gałęziami rosnących dookoła wielkich dębów.

- Chcesz pójść do wesołego miasteczka? - spytał Matt. - Jest tam kilka kolejek górskich, a jedna z nich jeździ do tyłu.

- Bardzo bym chciała, ale chyba nie powinieneś już dłużej być na słońcu - zauważyła Eve, gdy kierowali się w stronę hotelu.

- Przecież tak grubo mnie nasmarowałaś kremem, że pewnie cały się błyszczę.

Pociągnęła Matta w stronę małego sklepiku z witrażami. Gdy stali tak, podziwiając mistrzostwo rzemieślników, poczuła na kostkach dotknięcie czegoś miękkiego i puszystego. Spojrzała w dół i zobaczyła zabiedzonego kociaka o białą - czarnej, zmierzwionej i brudnej sierści. Stworzenie miauczało przeraźliwie.

- Biedne maleństwo. - Eve schyliła się i wzięła kotka na ręce. - Spójrz, Matt, to sama skóra i kości, pewnie się zgubił.

- Albo ktoś go wyrzucił - stwierdził Matt.

- Nie wierzę w to! Nikt nie wyrzuciłby na ulicę takiego słodkiego stworzenia. Z tymi czarnymi łatami wokół oczu przypomina mi Zorro. Popytajmy okolicznych sklepikarzy, może wiedzą, czyj to kociak.

Po godzinie zaniechali poszukiwań.

- Matt, nie możemy zostawić tego biedactwa na ulicy. Jest głodny i przerażony.

- To może odwieziemy go do schroniska - zaproponował Matt, lecz natychmiast pożałował swych słów.

- Co za idiotyczny pomysł! - krzyknęła Eve. - Znajdę mu dobry dom, ale najpierw musimy go nakarmić i zawieźć do lekarza. Pewnie ma robaki.

- Robaki? Na litość boską, Eve, natychmiast go zostaw!

- Nie bądź taki cholernie delikatny. Lepiej idź i kup mu coś do jedzenia, a ja poczekam na tej ławce.

Traktując jej życzenie jak rozkaz, Matt udał się na poszukiwania do najbliższych sklepów. Miał bardzo mgliste pojęcie o tym, co powinny jeść małe koty, dlatego kupił mleko. W meksykańskiej restauracji za dwadzieścia dolarów wyłudził od kelnera miseczkę. W drodze powrotnej kupił jeszcze paczkę herbatników.

- W porządku? - zapytał Eve. - Nie sądzę, by smakowało mu meksykańskie żarcie.

- Zaraz zobaczymy. Rozkrusz w misce parę herbatników i zalej je mlekiem. - Eve spojrzała na Matta groźnie, dając mu do zrozumienia, że żart o kulinarnych upodobaniach kotka nie przypadł jej do gustu.

Wygłodniały zwierzak z chęcią zabrał się do jedzenia.

- Chyba mu smakuje - ucieszyła się Eve, obdarzając Matta promiennym uśmiechem. - Dobrze się sprawiłeś. Kiedy kociak

skończy jeść. to może mógłbyś poszukać jakiegoś pudełka. Będzie nam łatwiej zanieść go do weterynarza.

- Nie ma problemu.

Matt przeszedł samego siebie. Przecznicę dalej znalazł duży magazyn, w którym kupił mały, wiklinowy koszyczek, gumową piłeczkę i piszczącą myszkę z materiału. Za te wszystkie rzeczy zapłacił mniej niż za restauracyjną miseczkę.

Rachunek, który wystawił weterynarz, opiewał na oszałamiającą kwotę.

Matt zapłacił bez mrugnięcia okiem. Chętnie dałby młodemu lekarzowi okrągłą sumkę na otworzenie nowej kliniki, byle tylko sprawić przyjemność Eve.

- Czy nie jest wspaniały? - spytała, odbierając od pielęgniarki umytego, wyczesanego i nafaszerowanego lekiem przeciwko robakom kotka.

- Przyznaję, że teraz kociak wygląda już zupełnie nieźle - zgodził się Matt.

- To może nazwiemy go Zorro? - spytała Eve.

- Czy sądzisz, że w hotelu nie będą mieli nic przeciwko temu, że zjawimy się tam z kociakiem? Wiesz co, przesznujemy go w torbie!

- Jestem za! - stwierdziła Eve z entuzjazmem. Natychmiast rzucili się w wir przygotowań niczym dwoje psotnych dzieci.

Po godzinie wkroczyli triumfalnie do hotelu obładowani pakunkami. Matt niósł torbę z kotkiem, a Eve pudełko z trocinami. Starannie unikali swoich spojrzeń, by nie wybuchnąć śmiechem. Szybko wsiedli do pustej windy i nacisnęli przycisk. Niestety w ostatniej chwili do środka wślizgnęła się para w średnim wieku i ich nastoletnia córka.

Wtedy właśnie Zorro zaczął rozpaczliwie miauczeć.

Matt odchrząknął głośno, uniósł nieco w górę torbę i z przesadną uwagą przyglądał się przyciskom w windzie. Eve wlepiała oczy w sufit i zaczęła podśpiewywać pod nosem.

Zorro ponownie zamiauczał.

Otyła kobieta o jędzowatym wyglądzie spojrzała ostro na Matta:

- Czy pan ma w tej torbie kota?

- Mogę panią zapewnić, że nie - stwierdził Matt z powagą.

- Opowiada pan bzdury! - nie ustępowała kobieta. - W tym hotelu nie wolno trzymać zwierząt.

Nastolatka uniosła w górę oczy i skuliła ramiona, tak jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jej ojciec, a zarazem chyba nieco zahukany mąż pyskatej jędzy, z zapalem godnym lepszej sprawy oglądał swoje paznokcie.

- Szanowna pani - powiedział Matt z przesadną grzecznością, pukając palcem w swój kowbojski kapelusz - zapewniam, że w tej torbie jest nasze dziecko, a nie jakiś zwierzak.

Kobieta wytrzeszczyła oczy i zamilkła; nastolatka nerwowo zachichotała; ojciec rodziny stanął na palcach, usiłując zajrzeć do tajemniczej torby.

Na szczęście w tym momencie winda stanęła i cała trójka w pośpiechu wybiegła na korytarz.

- Nasze dziecko? - krztusząc się ze śmiechu, powtórzyła Eve. - Widziałeś, jaką ta baba miała minę? O mały włos, a nasłababy na nas policję.

W dobrych nastrojach dotarli do swojego pokoju. Gdy byli już w środku, Matt odtąńczył z Eve szalonego rock and rolla.

- Udało nam się, panterko! Przeszmuglowaliśmy naszego wąsatego dzidziusia.

- Tak, tygrysku - przyznała Eve. Nagle wyslizgnęła się z ramion Matta i powiedziała z troską: - Zapomnieliśmy o

sprawcy całego zamieszania. Trzeba go szybko wyjąć i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Kociak był w dobrej formie, aczkolwiek wydawał się nieco rozzłoszczony tym, że tak na tak długo pozbawiono go swobody ruchu. Wskoczył z torby niczym pocisk.

Kilkakrotnie obiegi pokój, a potem zaczął się bawić piłeczką.

- To co z naszym wyjazdem do wesołego miasteczka? Może przełożymy to na wieczór? - zaproponował Matt.

Eve potrząsnęła przecząco głową.

- Jestem już trochę zmęczona. Może zamówimy kolację i pooglądamy telewizję?

- Fantastycznie, jestem za! - ucieszył się.

Matt zamówił stek z pieczonymi ziemniakami i podwójną porcję sałatki. Eve zamówiła ten sam zestaw, lecz bez mięsa. Zorro z wielkim apetytem pochłonął duży kawałek smażonej soli, a potem ułożył się wygodnie na kolanach Matta i zapadł w słodką drzemkę.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Eve odwróciła wzrok od ekranu telewizora, przeciągnęła się leniwie i powiedziała:

- To pewnie ktoś z obsługi hotelu. Ty i Zorro zostańcie tutaj, ja z nim porozmawiam.

W progu stał uśmiechnięty mężczyzna trzymający w ręku oszronioną butelkę. Z całą pewnością nie był kelnerem.

- Dobry wieczór! Nazywam się Ron Futch i jestem zastępcą dyrektora hotelu - przedstawił się.

Eve na chwilę wstrzymała oddech. To na pewno sprawka tych ludzi z windy, pomyślała w panice. Dyrekcja hotelu postanowiła natychmiast pozbyć się uciążliwych gości.

- Zaraz wszystko wyjaśnię... - Eve przybrała skruszoną minę.

- Aniele, o co chodzi? - Matt stanął tuż za plecami Eve.

Eve odwróciła się szybko na pięcie, dając mu wyrazem twarzy i subtelnymi gestami do zrozumienia, by się nie odzywał. Niestety, Mart niczego nie rozumiał. Sunął w stronę drzwi z uczeptionym jego ramienia kotkiem.

- Kochanie, to pan Futch, dyrektor hotelu. - Eve położyła nacisk na słowie „dyrektor”, chcąc zmusić Matta do odwrotu.

- Cześć, Ron! - powitał dyrektora Matt, ignorując wszystkie ostrzegawcze znaki Eve. - Co słychać?

Zorro, niezadowolony z tego, że Matt poruszył ręką, fuknął z oburzeniem i wdrapał się wyżej.

- Wszystko w porządku, Matt, miło cię widzieć. Cieszę się, że zamieszkałeś w naszym hotelu. A to mały prezent od firmy.

- Ron wyciągnął w kierunku Matta butelkę szampana. - Czy mam poprosić w kuchni, żeby go bardziej zmrozili?

- Dzięki, sam się tym zajmę. Ron, chciałbym ci przedstawić pewną uroczą damę. Oto Eve Ellison. - Następnie Matt podniósł w górę kociaka i oznajmił: - A to jest Zorro.

- Miło mi panią poznać. - Dyrektor z uśmiechem skinął Eve głową, a potem podrapał kotka za uszami. - Przepiękne stworzenie. Czy będziecie jeszcze czegoś potrzebowali?

- Nie, dziękujemy - odpowiedział Matt.

Futch pożegnał się. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Eve odetchnęła z ulgą.

- Nie mogę uwierzyć, że obdarował nas szampanem. Byłam przekonana, że przyszedł nas wyrzucić.

- To raczej niemożliwe. - Na twarzy Matta pojawił się leciutki uśmiezek. - Moi rodzice zatrudniają wyłącznie ludzi z klasą.

Gdy do Eve dotarło znaczenie tych słów, zmrużyła groźnie oczy, a potem z rozmachem cisnęła w Matta poduszką.

- Ty wstrętny kłamco! Nie znoszę tych twoich kowbojskich zagrywek.

Śmiejąc się i potykając, Matt jak mógł, tak unikał kolejnych pocisków. Jednak Eve nie ustępowała i wkrótce oboje biegali po pokoju, obrzucając się nawzajem poduszkami. Wreszcie zmęczeni opadli na kanapę.

- Nie mogę uwierzyć, że tak mnie wystrychnąłeś na dudka. Zrobiłam z siebie idiotkę.

- To był tylko niewinny żart - bronił się Matt.

- Być może, ale bardzo nie lubię, jak robi się ze mnie balona. Podejrzewam, że wynika to z pewnego przykrego doświadczenia, którego doznałam w dzieciństwie. Irish uważa, że jestem na tym punkcie trochę przewrażliwiona, i pewnie ma rację. Przyznaj jednak, że nikt nie lubi wychodzić na głupka.

Matt postawił kociaka na podłodze i wziął Eve w ramiona.

- Przepraszam, aniele. Za nic na świecie nie chciałbym cię zranić. To wszystko moja wina. Wybaczysz mi?

Eve udawała przez chwilę, że się namyśla, a potem z westchnieniem odparła:

- No dobrze, ale nigdy więcej tego nie rób.

- Przysięgam.

- Czy naprawdę ten hotel należy do twoich rodziców?

- Tak. Mieszkają piętro wyżej. Zbudowali hotel i przeprowadzili się tu z Dallas osiem lat temu.

- Widziałam ich na ślubie Irish - przypomniała sobie Eve. - Nie wpadniesz do nich na chwilę?

- Włóczą się teraz po Alasce i wrócą dopiero w przyszłym tygodniu. Wtedy was sobie przedstawię. Na pewno ci się spodobają. Są w porządku, a w dodatku mama ma czternastoletnią spasioną kotkę.

- Bratnia dusza. - Eve przytuliła się do Matta.

- Napijesz się szampana?

- Te bąbelki tak mnie łaskoczą w nosie, że później strasznie kicham.

- Mamy dużo chusteczek - stwierdził Matt i włożył szampana do lodówki.

Otworzył oczy i w tej samej chwili poczuł na brodzie dotyk szorstkiego języczka. Zorro, który teraz stał na piersi Matta, ogrzewał go przez całą noc. Delikatnie zdjął kociaka i przewrócił się na bok.

Już po chwili coś załaskotało go w policzek, a na czubku nosa poczuł wilgotny dotyk.

Zrezygnowany Matt uchylił lekko powieki i natknął się na wlepione w siebie niebieskie ślepia. Zorro zamiauczał przeraźliwie.

- Cicho! - syknął Matt ostrzegawczo i spojrzał na śpiącą Eve.

- Która godzina? - mruknęła, podnosząc z trudem głowę.

- Chyba odpowiednia na kocie śniadanie. Poszukam czegoś w lodówce, to może pozwoli nam jeszcze trochę pospać. Czy myślisz, że koty lubią orzeszki?

- Nie, ale zostało jeszcze trochę ryby. - Eve nakryła kołdrą głowę.

Matt z kociakiem powędrowali do kuchni.

Zorro przez chwilę nieufnie obwąchiwał zimną solę, a potem z niesmakiem odwrócił pyszczek.

- Jak na kogoś, kto jeszcze wczoraj był włóczęgą i przymierał głodem, jesteś trochę zbyt wybredny.

Kociak miauknął żałośnie i wlepił w Matta wielkie ślepia. Były błękitne, zupełnie jak oczy Eve. Crow westchnął tylko, myśląc, że ma za miękkie serce, i zaczął pospiesznie wyciągać z lodówki kolejne wiktuały. Zorro wybrał francuski pasztet z gęsich wątróbek.

- Muszę przyznać, stary, że masz bardzo wyrafinowany gust.

Gdy Matt usłyszał szum prysznica, zdecydował się dołączyć do Eve. Za kilka godzin musieli być na lotnisku.

Powinien jak najczęściej korzystać z uroków bycia sam na sam z ukochaną kobietą.

Matt i Eve spóźnili się na samolot do Austin, ale spokojnie poczekali na następny lot.

- Pijcie szybko, przyjaciele! - poganiała ich stewardesa, podająca soki. - Lądujemy już za trzydzieści minut.

- Myślę, że polubisz Austin - odezwał się Matt. - To jedno z moich ukochanych miast w Teksasie. Ma niepowtarzalną atmosferę. Leży trochę na uboczu i może sprawiać prowincjonalne wrażenie, lecz w rzeczywistości tętni życiem.

- Właśnie tam skończyłeś uniwersytet, prawda?

- Tak, wydział prawa.

- Ciągle zapominam, że jesteś prokuratorem. Dlaczego nie pracujesz w swoim zawodzie?

- Pewnie byś powiedziała, że zszedłem na manowce, bo postanowiłem podwoić mój milion.

- Nie rozumiem.

- No cóż - zaczął Matt, dopijając pospiesznie sok - jak wiesz, wszystko zaczęło się od dziadka Pete'a. To on zbudował nasze imperium. Wiele lat temu na jego ziemi odkryto ropę. Złóża jeszcze nie wyschły, a poza tym dziadek mądrze zainwestował zarobione pieniądze. Jest właścicielem kilku banków, wielu nieruchomości oraz papierów wartościowych. Pete postanowił łożyć na wykształcenie swoich czterech wnuków i wnuczki, bez względu na to, jak długo będzie trwała nauka. Wszyscy pięcioro skończyliśmy studia i każde z nas otrzymało milion dolarów i pięć lat na jego podwojenie. Tym, którym się to uda, dziadek obiecał następne dziesięć milionów dolarów.

- Dziesięć milionów dolarów? - Eve otworzyła szeroko oczy. - Po dziesięć milionów dolarów dla każdego z was? Wiedziałam, że Pete jest bogaty, ale...

- Wiem. Nikt nie podejrzewa, że ten starszy pan w wytartych dżinsach i flanelowej koszuli to prawdziwy potentat finansowy. Każdemu z nas zapewnił wykształcenie i dodatkowo jedenaście milionów dolarów. Obdarował całą rodzinę, a i tak wciąż jest z nas wszystkich najbogatszy.

- To znaczy, że wszystkie wnuczeta Pete'a są takie przedsiębiorcze? Wszyscy podwoiliście otrzymany milion?

- Na to wygląda. Dwanaście lat temu stworzyłem te linie lotnicze. Trzy razy oglądałem przed wydaniem każdego centa, aż wreszcie zebrałem niezłą sumkę. Później zaciągnąłem jeszcze pożyczkę i kupiłem małą firmę, która, niestety, zbankrutowała. Przez pierwsze lata nie było mi łatwo, ale w końcu się udało.

- Ciężko zapracowałeś na ten sukces, prawda? Matt skinął głową.

- Wszyscy podwoiliśmy swoje miliony ciężką pracą. No, może z wyjątkiem tego szczęściarza, Jacksona - stwierdził Matt z przekąsem.

- A teraz, moje gołąbeczki, zapnijcie pasy! - rozległ się z głośnika zachrypnięty baryton. - Lądujemy w Austin, ojczyźnie nietoperzy, rogatego bydła i najostrzejszego chili w całym stanie. Ju - huuu!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wysmarowani kremem z filtrem i zaopatrzeni w okulary przeciwsłoneczne, Eve i Matt mszyli na zwiedzanie Austin. Zorro, przypięty do koszyczka szeleczkami, pomrukiwał z cicha, wyraźnie zadowolony z życia. Większość dnia Eve i Matt spędzili na festynie, który odbywał się przed muzeum sztuki. Odwiedzili każde stoisko i budkę. Zjadali się przypiekaną kukurydzą, watą cukrową i innymi specjałami. Później obejrzeliby występ zonglerów i mimów oraz wysłuchali koncertu meksykańskich gitarzystów.

Eve kupiła małą akwarelę i kilka przepięknie rzeźbionych drewnianych kwiatów. Matt natomiast kupił prezent urodzinowy dla Jacksona - bardzo drogą figurkę niedźwiedzia grizli, odlaną z brązu. Dla siebie wyszukał ręcznie zdobiony pasek do spodni.

- Jak tu cudownie - zachwyciła się Eve, gdy wracali do samochodu. - Spójrz na te wzgórza porośnięte drzewami cytrynowymi. Muszę przyznać, że tutejsi ludzie są wyjątkowo mili i przyjaźni.

- Ja też lubię Austin. To moje ukochane miasto.

- To dlaczego się tu nie przeniesiesz? Matt wzruszył ramionami.

- Z powodów zawodowych. Siedziba mojej firmy mieści się w Dallas, ale często przyjeżdżam do Austin, kiedy tylko mam trochę wolnego czasu. Jackson też bardzo miło wspomina studenckie lata. Wiele czasu spędzaliśmy na Szóstej ulicy.

- A co tam jest takiego interesującego?

- Przede wszystkim bary i kluby nocne. Niestety, już nie mamy czasu, żeby je zwiedzać. Chyba że chcesz tu zostać przez jeszcze jedną noc, co by mi bardzo odpowiadało.

- Chciałabym, ale muszę wracać do moich zwierzątek. To miłe ze strony Jimmy'ego, że zgodził się nimi zaopiekować

podczas mojej nieobecności, ale nie chcę nadużywać jego uprzejmości. No i wiesz, przed poniedziałkiem czeka mnie mnóstwo roboty w domu. W przyszłym tygodniu będę bardzo zajęta, bo wrażenia z tej podróży podsunęły mi kilka niezłych pomysłów. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z mojej pracy.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Podoba mi się wszystko, co robisz. - Matt pomógł wsiąść Eve do samochodu, nachylił się i pocałował ją czule w policzek. - Naprawdę wszystko - podkreślił z naciskiem.

Późnym sobotnim popołudniem Matt podrzucił Eve do jej samochodu, który był zaparkowany w garażu agencji reklamowej. Pomógł jej przenieść bagaże, a potem wziął ją w ramiona.

- Może wpadnę do ciebie i pomogę ci oporządzić zwierzęta?

- Dziękuję, ale czeka cię długa droga, a poza tym wiem, że też musisz nadrobić zaległości w pracy. Zauważyłam, że często telefonują do ciebie z biura. Jeśli znajdziesz chwilę czasu, zadzwoń do mnie jutro.

- Obiecuję. Spędziłem z tobą kilka cudownych dni. Eve, naprawdę bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, Matt.

W tym momencie zatrzymał się przy nich samochód ochrony.

- Jakież problemy? - spytał strażnik, uśmiechając się domyślnie.

- Skądże - odpowiedział szybko Matt. - Panuję nad sytuacją.

Eve roześmiała się i usiadła za kierownicą. Matt długo patrzył za oddalającym się samochodem. Chociaż pożegnał się z Eve kilka sekund temu, już za nią tęsknił.

Przez cały następny tydzień Eve była zavalona pracą. Podróż z Mattem podsunęła jej kilka wspaniałych pomysłów na kampanię reklamową linii lotniczych Crow Airlines, zatrudniła jeszcze dwóch fachowców i cały zespół pracował pełną parą.

Crow był też bardzo zajęty, lecz mimo to udało mu się wygospodarować trochę czasu na spotkania z Eve. Przynajmniej dwa razy dziennie rozmawiali przez telefon.

Eve była zakochana i przepełniała ją uczucie niezwykłego szczęścia. Nie chodziła, lecz jakby unosiła się w powietrzu. Świat stał się dużo bardziej kolorowy, a ludzie przyjaźniejsi. Wszystkie trudności zdawały się nic nie znaczącymi błahostkami. Tryskała twórczą energią i optymizmem. Nawet fakt, że wdała się w romans z klientem agencji, przestał jej spędzać sen z powiek. Była pewna, że wspólnie jakoś rozwiążą ten problem.

Pod koniec tygodnia Matt zadzwonił z kuszącą propozycją.

- Czy chciałabyś polecieć do El Paso? Moglibyśmy też wpaść do doliny i odwiedzić moją rodzinę. Są tam wspaniałe gaje pomarańczowe. To tuż przy granicy meksykańskiej. Można by wybrać się na zakupy.

- Mam lepszy pomysł. Może pošlemy w tę podróż moich współpracowników? Chciałabym, żeby na własne oczy przekonali się, jak funkcjonują twoje linie lotnicze. Ja muszę się zająć naprawą werandy. Mógłbyś mi pomóc?

- Jasne! - ucieszył się Matt.

W sobotni rano, właśnie gdy Eve przekładała masło do prasy, pod drzwi jej domu zajechał Matt w towarzystwie stolarza.

Widząc minę Eve, zdusił w zarodku jej protesty:

- Aniele, Russell jest świetnym fachowcem. Zapewniam cię, że wynajęcie go będzie znacznie tańsze niż kolejny

rachunek za szpital. No i weź pod uwagę, że będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Jak się miewa Zorro? Czy Charlie już się do niego przyzwyczaił, czy też wciąż daje mu wycisk?

- Nie bardzo się między nimi układa, ale na szczęście narzeczona Sama Marcusa zgodziła się przygarnąć Zorro. Zawożę go do niej w poniedziałek rano.

- Będzie mi go brakowało - przyznał Matt szczerze.

- Mnie też, ale nie mogę stale powiększać swojego stadka. Wiesz co, skoro Russell zajmie się werandą, to ty mógłbyś mi pomóc zasadzić kwiaty. Chcę kupić krzaki róż i kilka magnolii.

Zdecydowali, że najpierw zawiozą masło do Pete'a, a potem wstąpią do Tyler, by kupić rośliny. Matt zapewnił Eve, że to miasteczko jest różaną stolicą Teksasu. Można tam dostać niemal wszystkie gatunki tej królowej kwiatów.

Podróż do Pete'a zajęła im prawie dwie godziny, lecz nie był to stracony czas. Okolica była przepiękna. Wysokie, smukłe sosny i majestatyczne dęby tworzyły malowniczą gęstwinę.

Pete bardzo ucieszył się z ich wizyty, a Gomez natychmiast przybiegł do Eve, domagając się pieśczoł. Uklękła przy nim i pogłaskała go po łbie.

- No, jak tam? Byłeś grzeczny? - zapytała merdającego ogonem i popiskującego zwierzaka.

- To dobry pies - zapewnił Pete. - Jest świetnym towarzyszem podczas długich spacerów.

Gomez, jakby wyczuwając, że o nim rozmawiają, posłusznie usiadł przy nodze Pete'a i wlepił w starszego pana pełne oddania spojrzenie.

- Chyba bardzo cię polubił - zauważyła Eve. - Może chciałbyś go zatrzymać na stałe?

Zarówno mężczyzna, jak i pies wydawali się zadowoleni z tego rozwiązania. Gomez uwielbiał, gdy poświęcano mu dużo uwagi, a równocześnie wymagał silnej ręki.

- Przywieźliśmy masło. Cały kilogram - oznajmiła Eve.

- Świetnie. Z ostatniej dostawy już nic nie zostało. Trochę zjadłem sam, a resztę sprzedałem. Zaraz oddam ci pieniądze.

- Nie ma mowy! - oburzyła się Eve. - Przynajmniej w ten sposób odwdzięczę ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Pete i Matt oprowadzili Eve po centrum handlowym, gdzie sprzedawano dosłownie wszystko. Wydzielono tam nawet mały kącik muzealny, w którym eksponowano starą indiańską broń, to znaczy kilka połamanych strzała jeden tomahawk. Największą atrakcją wystawy był żywy, aczkolwiek nieco ospały grzechotnik. Eve poznała Almę Jane. Kobieta była bardzo zajęta w kuchni, albowiem właśnie zbliżała się pora lunchu. Eve nie mogła znaleźć słów uznania dla Pete'a, który pomimo swego bogactwa tak dobrze czuł się w roli wiejskiego sklepikarza. Widać było, że to zajęcie sprawia mu ogromną przyjemność.

Jak urzeczona oglądała olbrzymie rzeźby przedstawiające Indian, niedźwiedzie i kowbojów, które Pete tworzył z wielkich drewnianych kłoców za pomocą piły łańcuchowej. Szczególnie zachwyciła ją figura orła, którą Pete właśnie skończył.

- Naprawdę wyrzeźbiłeś to piłą? - spytała z niedowierzaniem, przesuwając dłonią po szorstkiej powierzchni drewna.

- Tak. Niektóre szczegóły trzeba wykończyć dłutem, a później wszystko wygładzić papierem ściernym. Kyle też jest świetny, ale Matt nigdy nie przykładał się do tej roboty.

Później poszli na górę, by obejrzeć imponującą bibliotekę Pete'a. Po lunchu pożegnali gościnnego gospodarza i wyruszyli do Tyler.

W wielkiej firmie ogrodniczej Eve kupiła sześć krzaków róż, dwie magnolie i dwie skrzynki nasturcji. Nim zapadł zmierzch, wraz z Mattem zasadziła wszystkie rośliny.

- To miejsce zaczyna mi się coraz bardziej podobać - stwierdziła, gdy rozmawiali przy mrożonej herbacie. - Mam nowy dach i werandę, czeka mnie już tylko malowanie. Jak myślisz, jaki kolor będzie pasował do niebieskiego dachu?

- Pomaluj ściany na biało, a na niebiesko okiennice. Ale może powinniśmy się zastanowić nad budową nowego domu.

- Co takiego?

Matt pokiwał głową, wziął Eve w ramiona i utkwiał wzrok w rozciągających się wokół zielonych łąkach.

- No wiesz, kiedy już za mnie wyjdiesz...

- Matt... - szepnęła Eve ostrzegawczo.

- No dobrze, dobrze, trochę się rozmarzyłem. Może skoczmy dziś wieczorem do „Czerwonego Psa”? Jeśli chcesz zostać w Teksasie, musisz się nauczyć naszych tańców.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jako mała dziewczynka Eve miała paskudny zwyczaj obgryzania paznokci. Dziękowała Bogu, że teraz jej zdenerwowanie przejawiało się w inny, mniej rzucający się w oczy sposób: co chwila odruchowo poprawiała włosy i szczypała się w lewe ucho.

Przy okrągłym stole zebrało się kierownictwo agencji reklamowej oraz szefowie Crow Airlines. Nadszedł czas prezentacji projektu kampanii reklamowej, przygotowanego przez zespół Eve. Bart i Gene widzieli materiał już wczoraj i byli naprawdę zachwyceni. Ich opinie sprawiły Eve dużą radość, lecz liczyło się przede wszystkim zdanie klienta.

Nancy pokazywała właśnie ostatnie slajdy, a jeden z pracowników dbał o odpowiednią oprawę muzyczną.

Gdy po pokazie odsłonięto okna, Eve najpierw w duchu policzyła do pięciu, a potem wstała i zapaliła światło.

- I na tym, drodzy państwo, zakończyliśmy prezentację. Mam nadzieję, że projekt spełnił wasze oczekiwania. Staraliśmy się, by nasza kampania nie powielala istniejących na rynku reklamowym wzorców oraz by działała na wyobraźnię potencjalnych klientów.

Matt i ludzie z jego firmy skwitowali jej słowa gromkim aplauzem.

- Fantastyczne! To naprawdę robi wrażenie! - rozległy się pochwały.

Eve poczuła, jak powoli opada z niej napięcie. Przepełniało ją uczucie triumfu. Miała ochotę wskoczyć na stół konferencyjny i odtąńczyć kankana.

- Eve - zwrócił się do niej Matt z szerokim uśmiechem - ty i twój zespół odwaliliście kawał dobrej roboty. Bart, Gene, spotkajmy się w poniedziałek, żeby ustalić ostatnie szczegóły.

Zebranie zbliżało się do końca. Eve mrugnęła do Nancy i Sama, usiłując zachować powagę, lecz nie potrafiła ukryć

radosnego podniecenia. Wszyscy zachowywali się podobnie, z wyjątkiem Bryana Belo. Parszywa owca, pomyślała Eve z niechęcią. Miała szczerą ochotę pokazać język temu nadętemu bubkowi.

Matt ujął ją za łokieć i powiedział:

- Świetnie się spisałaś, Eve. Może wybierzemy się dzisiaj na kolację, żeby uczcić twój sukces?

Wychodzący z pokoju Bryan rzucił szefowej bardzo ostre i nieprzyjazne spojrzenie, lecz była zbyt szczęśliwa, by wziąć to sobie do serca.

- Zgoda, ale muszę jeszcze załatwić kilka spraw. O której się spotkamy?

- To może o szóstej w „Gospodzie przy Żółwym Strumieniu”.

Była to jedna z najlepszych restauracji w Dallas. Bardzo elegancka i droga.

- Będę punktualnie. Poproszę Jimmy'ego, żeby zajął się zwierzakami.

Widząc, że pokój już opustoszał, błyskawicznie spakowała dokumenty i ruszyła do wyjścia.

Gdy otworzyła drzwi do swojego gabinetu, ktoś obrzucił ją konfetti, a wokół rozległy się radosne okrzyki. Zaczęły strzelać korki od szampana, a do pokoju wjechał goniec na rolkach, dzierżąc przed sobą olbrzymią tacę wypełnioną pieczonymi skrzydełkami.

Wszyscy byli rozbawieni i roześmiani. Z głośników płynął stary dobry rock, a na stole Bart całkiem udatnie parodiował Elvisa. Kręcił biodrami tak wyzywająco, że Eve parsknęła głośnym śmiechem.

Zabawa rozkręcała się na dobre, lecz po jakimś czasie Eve po cichu się wymknęła, by zdążyć na spotkanie z Mattem. W głowie szumiało jej od szampana, dlatego zdecydowała się wziąć taksówkę. Jimmy obiecał, że zajmie się zwierzętami, a

nawet, w razie potrzeby, zanocuje na farmie, albowiem tej nocy Eve nie miała zamiaru wracać do domu.

- Moje gratulacje! - Matt wzniosł kieliszek, by spełnić toast. - Wciąż nie mogę wyjść z podziwu nad twoim projektem.

- Czyżbyś był zaskoczony, że jestem dobra w swoim fachu? - spytała Eve ze śmiechem.

- Skądże, wiedziałem, że jesteś bardzo zdolna, ale to, co zrobiłaś, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Jeszcze z nikim tak dobrze mi się nie współpracowało.

Eve przyjmowała te komplementy z uśmiechem. Kilkakrotnie bezwiednie zakręciła kieliszkiem, obserwując ściekający po ściankach trunek. Światło świec sprawiło, że kryształ zaśnił niczym diament, a szampan nabrał złotego połysku. Przed chwilą zjedli wspaniałą kolację w zacisznym zakątku na patio. Roztaczał się stąd wspaniały widok na spowite zielenią i rozświetlone miasto. Z głośników płynęła spokojna muzyka, w powietrzu unosił się słodki zapach frezji. Matthew Crow, którego pokochała całym sercem, patrzył na nią tak, jakby była najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietą na całym świecie.

Eve chyba jeszcze nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Matt sięgnął ponad stolikiem i ujął jej dłoń.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja ciebie też kocham. Naprawdę.

- Wyjdiesz za mnie?

Eve zawahała się. Serce nakazywało jej powiedzieć „tak”, lecz nadal była pełna wątpliwości.

- Eve, aniele, proszę, zgódź się - nalegał Matt. Jego oczy przepełnione były taką miłością, że Eve postanowiła pójść za głosem serca.

- Tak - szepnęła.

- Rany boskie, nareszcie! - wykrzyknął uszczęśliwiony Matt.

Eve roześmiała się głośno.

- Chodźmy stąd. Muszę cię natychmiast pocałować.

Matt obsypywał Eve pocałunkami w samochodzie, w garażu, w windzie, przed drzwiami. Gdy złączem uściskiem weszli do jego mieszkania, uniósł ją w ramionach i okręcił kilkakrotnie w powietrzu. Potem z jego gardła wydobył się okrzyk, tak dziki i głośny, że musieli go usłyszeć wszyscy sąsiedzi.

Kochali się czule i bez pośpiechu. Zapomnieli o upływającym czasie.

Coś połaskotało Eve w nos. Sapnęła z irytacją i machnęła dłonią tak, jakby opędzała się od natrętnej muchy.

Gdy usłyszała zduszony śmiech Matta, powoli uniosła powieki. Leżał na brzuchu obok niej, a w ręku trzymał piękne krucze pióro.

- Wstawaj, śpiochu! Chciałbym ci coś pokazać.

- Pióro?

Eve usiadła i energicznie poprawiła poduszkę.

- Nie, coś o wiele lepszego. Wczoraj wieczorem byłem tak podniecony, że zupełnie o tym zapomniałem. Od tygodni czekam na odpowiednią okazję, żeby ci to podarować.

Matt podał Eve małe pudełeczko obite aksamitem.

- Co to takiego?

- Pierścionek. - Matt uniósł wieczko, a oczom Eve ukazał się jeden z najpiękniejszych diamentów, jaki kiedykolwiek widziała. Kamień był dość duży i pięknie oszlifowany. Na jego lśniącej powierzchni mieniły się wszystkie kolory tęczy. Klejnot, mimo że musiał kosztować majątek, nie był rzucający się w oczy i świadczył o dobrym guście nabywcy. - A ściślej mówiąc, pierścionek zaręczynowy. - Matt wsunął błyszczące cacko na palec Eve. - Podoba ci się?

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Przez chwilę próbowała opanować ogarniające ją wzruszenie, ale później poddała mu się całkowicie.

- Jest cudowny. Matt, ty ze mnie nie żartowałeś! -
Zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchnęła głośnym szlochem.

- Aniele, nigdy nie byłem bardziej poważny. Cieszę się, że mi wreszcie uwierzyłaś.

Przez resztę weekendu Eve powoli oswajała się z nową rolą. To nie był tylko piękny sen. Matthew Crow naprawdę pragnął ją poślubić. Zdołał ją przekonać o tym, że jest piękna i pociągająca. Po raz pierwszy w życiu Eve przestała myśleć o sobie jako o zbyt wysokiej i niezbyt zgrabnej kobiecie.

Zadzwonili do Irish i rodziców Eve, by podzielić się z nimi swoją radością. Wiadomość szybko rozniosła się po całej rodzinie i wkrótce rozdzwonił się telefon. Wszyscy szczerze im gratulowali, a zwłaszcza Pete. Starszy pan natychmiast przypomniał Eve o swojej obietnicy podarowania jej dwóch milionów w prezencie ślubnym. Eve wybuchnęła śmiechem. Poślubiłaby Matta, nawet gdyby był ostatnim nędzarzem.

W poniedziałek w agencji wciąż jeszcze panowała radosna atmosfera. Podczas gdy Bart i Gene spisywali umowę z Mattem, Eve zwołała zespół na naradę. Miło było cieszyć się sukcesem, lecz czekało ich następne zlecenie. Wszyscy byli pełni pomysłów i tryskali werwą. Z jednym wyjątkiem: Bryan Belo wprost kipiał ze złości.

Ten facet coraz bardziej działał Eve na nerwy.

Postanowiła natychmiast rozwiązać ten problem i poprosiła Bryana o rozmowę w cztery oczy.

Dokładnie zamknęła drzwi swojego gabinetu, a później przemówiła, starając się panować nad głosem:

- Bryanie, nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale jeśli mi to wyjaśnisz, na pewno jakoś dojdziemy do porozumienia.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ależ wiesz, i to doskonale. Jesteś niegrzeczny, grubiański i najwyraźniej zazdrościsz mi stanowiska. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czym zasłużyłam sobie na takie traktowanie. Co ja takiego zrobiłam?

Eve przyjrzała się uważnie spokojnej z pozoru twarzy Bryana. Usiłował ukryć prawdziwe uczucia pod maską obojętności, lecz z miernym skutkiem. Z przerażeniem dostrzegła w jego wzroku wściekłość i nienawiść.

- Co zrobiłaś!? - ryknął, przestając się hamować. - Zdobyłaś tę pracę przez łóżko. Czy myślisz, że dostałabyś to stanowisko, gdyby nie to, że sypiasz z Mattem? Nic podobnego, moja pani. To ja powinienem siedzieć w tym gabinecie!

Zaskoczona Eve patrzyła na Bryana z niedowierzaniem.

- Kłamiesz! - krzyknęła z poszarzałą nagle twarzą.

- Nie zgrywaj się. Bart miał właśnie wręczyć mi nominację, gdy szanowny pan Crow wtargnął tu jak burza i zaproponował układ: „Jeśli zatrudnisz tę Ellison, masz zlecenie w kieszeni”.

- Nie, to nieprawda... - powtórzyła Eve, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- A co, może chcesz się założyć? To żadna tajemnica, wszyscy w firmie wiedzą też, że sypiasz z klientem. W przeciwnym wypadku nikt o zdrowych zmysłach nie zatrudniłby do tak ważnego zlecenia jakiegoś zera z Ohio! Wiesz, jak się ustawić, dziecińko. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Barta.

Bryan wypadł jak burza, zatrzasnął za sobą z rozmachem drzwi.

Eve powoli opadła na krzesło. Splotła mocno palce dłoni, lecz i tak nie potrafiła opanować ich drżenia.

Bryan mnie oszukał, uspokajała się w duchu. Jest zazdrosny i chce mnie zranić. To biedny i żaloszny frustrat,

który musiał jakoś wyładować swój gniew. Matt nigdy nie postąpiłby w tak obrzydliwy sposób. Nigdy nie naraziłby jej na to, by stała się pośmiewiskiem dla kolegów z firmy.

Przecież przysięgał, że ją kocha.

Eve próbowała wziąć głęboki oddech, lecz miała wrażenie, że pierś przygniata jej olbrzymi, ciężki głaz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie wolno jej było upadać na duchu. Najpierw powinna dowiedzieć się prawdy. Po długich i ciężkich zmaganiach Eve udało się wreszcie nieco zapanować nad roztrzęsionymi nerwami. Uspokoila się na tyle, by zebrać myśli. Powinna to wszystko dobrze rozegrać. Ten padalec, Bryan, być może kłamał tylko po to, by wyprowadzić ją z równowagi i dopiec jej do żywego. Lepiej najpierw poznać fakty, a dopiero potem przystąpić do działania. Co nagle, to po diable.

Uspokojona tym postanowieniem, Eve niezwłocznie przystąpiła do działania. Wzięła głęboki oddech, podniosła słuchawkę telefonu i połączyła się z sekretarką.

- Candy, czy Bart już wrócił ze spotkania? Nie? Czy mogłabyś do mnie zadzwonić natychmiast, kiedy się zjawi? I proszę cię, nie łącz mnie teraz z nikim.

Candy zachichotała i spytała:

- Nawet jeśli zadzwoni Matt Crow?

- Tak - odpowiedziała Eve spokojnie. - Jestem na konferencji dla wszystkich oprócz Barta.

Eve przysunęła krzesło do okna i utkwiała wzrok w błękitnym niebie.

Każda minuta zdawała się wiecznością.

Eve zaczęła się żarliwie modlić. Stoczyła ciężką walkę z demonami, które targały jej duszą.

Była jednym wielkim oczekiwaniem. W jej głowie powoli krystalizował się plan.

Minęło piętnaście minut, a później następny kwadrans.

Żołądek Eve skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów. Potworny ciężar w piersiach i pulsujący ból głowy niemal ją obezwładniały.

Po półgodzinie telefon wreszcie zadzwonił.

- Bart i Gene wrócili z narady - odezwała się Candy. - Uprzedziłam Barta, że chcesz z nim porozmawiać.

- Dziękuję, zaraz u niego będę.

- Nancy opowiedziała mi o twoim pierścionku zaręczynowym. To podobno prawdziwe cacko. Cieszę się, że tak ci się ułożyło z Mattem. To wspaniały facet.

- Dziękuję - odpowiedziała Eve sucho i odłożyła słuchawkę.

Powoli wstała z krzesła, wygładziła zmarszczki na spódnicy i ze zwieszoną głową stanęła przy drzwiach swego gabinetu. W chwili gdy położyła dłoń na klamce, wyprostowała ramiona i przyoblekła twarz w szeroki uśmiech.

- Kurtyna w górę! - szepnęła dla dodania sobie odwagi i wymaszerowała na korytarz.

W chwilę później uchyliła drzwi od gabinetu Barta.

- Jesteś bardzo zajęty? - zapytała, stając w progu. Spojrzał na nią znad sterty papierów i uśmiechnął się.

- Wejdz, proszę.

- Podpisałeś umowę z Mattem?

- Oczywiście. Powiedział mi, że się zaręczyliście. Gratuluję... Oj, chyba zapomniałem o etykiecie. W takich chwilach to mężczyznom się gratuluje, a kobietom życzy szczęścia.

- Dziękuję.

Eve czuła, że od wymuszonego uśmiechu zaczynają ją boleć mięśnie policzków.

- Eve, chciałbym jeszcze raz powiedzieć, że świetnie się spisałaś. Cieszę się, że zgodziłaś się dla nas pracować.

Postanowiła dalej grać narzuconą sobie rolę. Roześmiała się i rzuciła lekkim tonem:

- Nie miałeś pojęcia o moich kwalifikacjach, kiedy mnie zatrudniałeś. Chciałeś po prostu zrobić przysługę Mattowi.

Uśmiech zniknął powoli z twarzy Barta. Było coś takiego w wyrazie jego twarzy, że Eve straciła ostatni promyk nadziei.

- Eve, ja...

- Nie musisz się już przede mną zgrywać. - Eve puściła oko i uśmiechnęła się. - Ja już wiem o waszej umowie.

- Powiedział ci?! Po tym, jak kazał mi przysięgać, że będę milczał jak grób? Jestem trochę zaskoczony...

Eve nie potrafiła dłużej udawać. Czowała się tak, jakby ktoś ugodził ją nożem. Wyraz jej twarzy tak przestraszył Barta, że ten zamarł z otwartymi ustami.

- A to łajdak! - wyszepnęła Eve na przekór swym wcześniejszym postanowieniom, że rozegra całą sprawę spokojnie.

Bart zbladł, a potem zaczął bezładnie bąkać:

- Boże, Eve, co ja narobiłem!

Powoli wstał zza biurka, przykładając drżące dłonie do czoła.

Eve wiedziała, że nie wolno jej się rozplakać.

- Po prostu powiedziałaś mi prawdę - stwierdziła z przerażającym spokojem. - Składam natychmiastowe wymówienie.

- Eve...

- Proszę cię, lepiej już nic nie mów.

Splotła dłonie tak mocno, że pierścionek zaręczynowy boleśnie wpił się jej w palec. Spojrzała na rozświetlony, płonący żywym ogniem kamień i nagle doszła do wniosku, że jest to najobrzydliwszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziała. Ściągnęła pierścionek z palca i cisnęła złoty krążek na biurko Barta.

- Przy najbliższej okazji oddaj to swojemu kumplowi - wycodziła przez zęby i wybiegła z gabinetu.

Wstąpiła do swojego biura tylko po to, by wyrzucić Firmowe papiery z teczki i zabrać torebkę. Nie odezwała się ani słowem do żadnego ze swoich współpracowników, nie dbała o to, co sobie o niej pomyślą.

Pojechała prosto na farmę, przez cały czas ściskając kurczowo kierownicę.

Minerwa i psy były przyjemnie zaskoczone, że Eve pojawiła się w domu tak wcześnie. Odańczyły wokół niej radosny taniec, a później hurmem wtargnęły do środka. W tej właśnie chwili rozległ się dzwonek telefonu.

Eve nie zwróciła na to uwagi.

Po chwili wyrwała kabel z gniazdka.

Wkrótce do towarzystwa przyłączyły się koty i cała grupa chodziła krok w krok za Eve, podczas gdy ich pani z wściekłością rozrzucała po całym domu kolejne części garderoby.

- L'amour, l'amour, l'amour - odezwał się jak zwykle nie w porę Caruso.

- Zamknij się! - ryknęła Eve.

Potem przebrała się w szlafrok i rzuciła na łóżko. Zwierzaki natychmiast zwietrzyły okazję i otoczyły Eve wianuszkami.

Obdzieliła je sprawiedliwie pieszczotami, a potem wybuchnęła niepohamowanym płaczem. I był to płacz z samego wnętrza jej udręczonej duszy.

Charlotte szczeękęła, Lucy sapnęła, Minerwa chrząknęła, a Bowie zaczął potakiwać, tak jakby zwietrzył intruza. Przedsiębiorczy Charlie ułożył się na piersiach Eve, tuż pod jej brodą. Pansy musiała zadowolić się słonym policzkiem pani, który z zapalem wylizywała.

Eve wciąż płakała. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takiego bólu i nie czuła się tak straszliwie oszukana. W końcu przyszedł ten najgorszy moment: zabrakło jej łez.

Dowlokła się do spiżarni i po chwili opuściła ją obładowana batonikami, czekoladami i ciasteczkami. Zjadła wszystko do ostatniego okruszka.

Potem przyszła kolej na orzeszki.

Słodczyce ukoiliły trochę jej zszargane nerwy, lecz nie poprawiły nastroju. W tej chwili Eve wydała się sobie najbardziej żalną istotą na świecie. Bart i Matt nie tylko ją oszukali, ale i ośmieszyli przed pozostałymi pracownikami firmy. Eve na pewno była tematem wielu niewybrednych plotek. Ze wstydu i upokorzenia miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Bowie nadstawił uszu, a Pansy zeskoczyła z łóżka i pomrukując, podbiegła do drzwi.

Głośne walenie wyrwało Eve ze smętnych rozważań.

- Zgadnij, kto przyszedł? - sarkastycznie spytała Eve Minerwę, która wesoło pochrzając, ruszyła ciężkim truchtem w kierunku drzwi. - Zdrajczyń! - krzyknęła za nią Eve.

Pukanie do drzwi stawało się coraz głośniejsze.

- Figaro, Figaro. Figaro! - skomentował sytuację Caruso.

Po chwili już wszystkie zwierzaki tłoczyły się przy drzwiach. Tylko wierny Charlie nie opuścił swojej pani.

Eve ułożyła sobie kota na ramieniu i przytuliła policzek do miękkiego futerka.

- On mnie zranił, Charlie! Złamał mi serce. Przeczuwałam, że tak będzie.

Eve nadal nie zwracała uwagi na hałas przy drzwiach, a kiedy Matt zaczął stukać w okno jej sypialni, spokojnie podeszła i opuściła żaluzje.

Pozasłaniała okna w całym domu.

Po jakimś czasie Matt przestał pukać i krzyczeć. Jednak gdy Eve, zwiedziona ciszą, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, był samochód Matta. Jej były narzeczony z miną desperata siedział na werandzie tuż przy szklanych drzwiach.

Eve natychmiast cofnęła się od okna.

- Widziałem cię! - krzyknął. - Wpuść mnie. Będę tu siedział tak długo, dopóki nie zgodzisz się ze mną porozmawiać.

- Odejdź!

- Nic z tego. Jeśli będę musiał, spędzę tu całą wieczność. Kiedyś przecież wyjdiesz.

- Przedtem umrzesz z głodu.

- Nic z tego! Właśnie zamówiłem pizzę.

Eve rozwścieczyło to, że stała się więźniem we własnym domu. Porwała z łazienki wielki ręcznik kąpielowy, taśmę samoprzylepną i podeszła do oszklonych drzwi.

Matt uśmiechnął się triumfalnie i wstał.

Jego uśmiech powoli zamieniał się w grymas, gdy zobaczył że Eve przykleja ręcznik do szyby.

Sześć godzin później Matt wciąż tkwił na werandzie. Na podłodze leżało puste pudełko po pizzy i kilka puszek po piwie.

By nie wychodzić na zewnątrz, Eve włączyła na chwilę telefon i zadzwoniła do Jimmy'ego, by zajął się pozostałymi zwierzakami.

Spanie w ciasnym samochodzie nie należy do przyjemności. Jednak chyba jeszcze dokuczliwszy okazał się zmasowany atak krwiożerczych komarów. Następnego wieczoru Jackson poratował brata hamburgerami i śpiworem. Przywiózł również kilka puszek dobrze schłodzonego piwa i żel odstraszający komary.

Bracia siedzieli na werandzie, popijając piwo i obserwując robaczki świętojańskie.

- Co ty zrobiłeś Eve, że tak się na ciebie wściekła? - spytał Jackson.

Matt opowiedział o umowie, którą zawarł z Bartem. Niełatwo było mu przyznać się do własnej głupoty, ale miał ochotę z kimś o tym pogadać.

- Ale narozrabiałeś, braciszku - skomentował Jackson.
 - Wiem, ale tylko w taki sposób mogłem ją ściągnąć do Teksasu. Przedtem nawet nie odpowiadała na moje telefony.
 - Teraz też tego nie robi - roześmiał się Jackson.
 - Cholera, to wcale nie jest śmieszne!
 - Przepraszam, ale jeszcze nigdy nie zachowywałeś się tak idiotycznie. O co właściwie chodzi?
 - To prawdziwa miłość, Jackson. Oszalałem na punkcie Eve od chwili, kiedy ją zobaczyłem. Od razu wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Czy kiedyś coś takiego przeżyłeś?
 - Raz - odpowiedział Jackson po chwili wahania.
 - I co się stało?
 - Nie była mną zainteresowana. - Jackson opuścił głowę.
 - Znam ją? - drążył dalej Matt.
 - Tak, poznałeś ją na weselu Irish i Kyle'a.
 - To ta pani psycholog?
 - Mhm - potwierdził Jackson.
- Bracia jeszcze przez chwilę popijali piwo, oddając się niewesołym rozmyśleniom na temat ich skomplikowanego życia uczuciowego. Czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Kłopoty zawsze zbliżały ich do siebie i w ciężkich chwilach rozumieli się bez słów.
- Chyba jeszcze o niej nie zapomniałeś? - przerwał ciszę Matt.
 - Nie, to nie jest takie łatwe.
 - Może spróbujesz znowu do niej zadzwonić?
 - Muszę to przemyśleć - powiedział Jackson, wstając i przeciągając się. - Jak długo zamierzasz tu tkwić?
 - Nie mam pojęcia. Nie odejdę, dopóki nie uda mi się porozmawiać i Eve. Chyba że wpadnę na jakiś lepszy pomysł.
 - Może spróbujesz ją stamtąd wykurzyć? - zaproponował Jackson.

Matt mógłby przysiąc, że do jego uszu dobiegło ciche westchnienie. A może tylko mu się wydawało?

- Najpierw spróbuję bardziej pokojowych metod. W ostateczności podłożę ogień albo użyję gazu łzawiącego.

Teraz już był pewien, że usłyszał jęk. Uśmiechnął się z satysfakcją. Założyłby się o wszystkie swoje miliony, że Eve stała tuż przy drzwiach wyjściowych i słyszała każde słowo, które padło na werandzie.

Matt warował na farmie Eve jeszcze przez dwa dni. Zostałby dłużej, ale po namyśle doszedł do wniosku, że pora sięgnąć po inne środki.

W geście pożegnania uniósł kapelusz przed oklejonymi rącznikami drzwiami, a potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Gdy Eve zabierała się do ozdabiania szafek kuchennych wymyślnym ornamentem kwiatowym, na farmę przyjechał Bart Coleman. Nie miała ochoty wpuszczać go do środka, ale po namyśle doszła do wniosku, że mimo wszystko Bart nie zasługuje na taki afront.

Zaprosiła go do salonu i zaproponowała kawę.

- Eve, masz prawo być na mnie wściekła, ale zanim wyrzucisz mnie za próg, chciałbym ci wyjaśnić kilka rzeczy. Jesteś naprawdę świetnym fachowcem i byłem z ciebie bardzo zadowolony. Nie mam zamiaru przyjąć twojego wymówienia, bo byłoby grzechem zrezygnować z dobrego pracownika.

- Ale Bart, ja nie mogę...

Bart dał ruchem dłoni do zrozumienia, że jeszcze nie skończył.

- Chcę, żebyś została w firmie, nawet gdyby miało to oznaczać zerwanie kontraktu z Crow Airlines. Powinnaś też wiedzieć, jaką umowę zawarłem z Mattem. Zgodziłem się zatrudnić cię tylko na próbę, choć Matt przekonywał mnie o twoich kwalifikacjach. Mimo jego oporów wymogłem, że jeśli

nie poradzisz sobie na tym stanowisku, będę mógł cię zwolnić. Eve, spełnię wszystkie twoje warunki, tylko wróć do pracy!

To była szalenie kusząca propozycja. Eve bardzo polubiła agencję i, szczerze mówiąc, zaczynała już nudzić się w domu.

- Daj mi trochę czasu do namysłu.

- W porządku. Chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że zwolniłem Bryana Belo - zakończył rozmowę Bart.

Co godzinę Eve dostarczano tuzin róż. Do wszystkich bukietów przyczepiona była kartka z identyczną treścią: "Kocham cię. Porozmawiaj ze mną. Matt".

Oszalały z miłości milioner wynajął również zonglerów, klaunów i śpiewaków, którzy co dwie godziny pukali do drzwi jego ukochanej i przekazywali jej na różne sposoby tę samą wiadomość.

Gdy w bramie wejściowej pojawiła się Irish, nad farmą Eve zaczął właśnie krążyć helikopter. Po chwili na trawnik opadły setki ulotek.

Irish przesłoniła dłonią oczy i przez moment obserwowała wirujące w powietrzu różowe kartki.

- A cóż to jest, do licha? - spytała. Eve westchnęła z rezygnacją.

- To na pewno następny pomysł Matta.

Siostry podniosły kilka ulotek. Na wszystkich był ten sam miłosny komunikat.

- Trzeba przyznać, że Matt jest bardzo pomysłowy. Kiedy wreszcie zlitujesz się nad tym biedakiem?

- Biedakiem?! - krzyknęła oburzona Eve. - Siostrzyczko, to ja jestem pokrzywdzona. Matt zrobił ze mnie idiotkę i nigdy mu tego nie wybaczę!

Irish objęła ją ramieniem i powiedziała:

- Chodź, mała, udzielę ci kilku życiowych porad. Zrób mi coś do picia i pogadamy jak kobieta z kobietą.

Kilka minut później obie siedziały w kuchni i popijały herbatę. Eve wylewała swe żale przed siostrą, nie kryjąc goryczy i rozczarowania.

- Zasłużył na karę i to nie ulega wątpliwości - przyznała Irish. - Chciałabym jednak, żebyś mi odpowiedziała na kilka pytań. Wiem, że teraz jesteś wściekła na Matta, ale czy wciąż go kochasz?

- Tak - szepnęła Eve z westchnieniem.

- A czy on także cię kocha? - drażzyła dalej Irish. Eve przypomniała sobie wszystkie spędzone z Mattem chwile. Pamiętała również niedawną rozmowę braci, jaką odbyli na jej werandzie.

- Tak, jestem tego pewna.

- W takim razie, kochanie, chyba zamierzasz zrobić największe głupstwo w swoim życiu. Matt jest wspaniałym facetem i nie powinnaś odrzucać jego uczuć. Jest duża różnica między poczuciem honoru a głupią dumą. Matt postąpił idiotycznie, a ty czujesz się oszukana i zraniona. Ale jeśli naprawdę się kochacie, przezwyciężycie ten kryzys. Uwierz mi, że Matt dostał nauczkę i więcej nie popełni podobnego błędu.

Eve wypiała łyk herbaty, a potem spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się smutno.

- Od kiedy to stałaś się taka mądra?

- Od kilku miesięcy. Przeżyliśmy z Kyle'em bardzo podobną sytuację i czułam się podobnie jak ty. Obiecuj mi, że porozmawiasz z Mattem.

- Zadzwońię do niego - zgodziła się Eve.

- I to natychmiast. Ja wracam do domu. - Irish serdecznie ucałowała siostrę, chcąc ją podtrzymać na duchu i dodać jej odwagi.

Gdy wyszły na zewnątrz, ujrzały krążący nad farmą samolot.

- Mam nadzieję, że to nie jest dostawa następnych ulotek
- powiedziała Eve, zerkając w niebo.

W tej właśnie chwili ktoś wyskoczył z samolotu. Po kilku sekundach otworzył się spadochron i skoczek zaczął powoli opadać, kierując się na podwórko.

Eve zmrużyła oczy, obserwując poczynania śmiałka. Wylądował tuż obok samochodu Irish. Ściągnął hełm, odmachnął się i krzyknął:

- Witam panie!

- Jesteś niemożliwy! Mogłeś sobie skrócić kark! - krzyknęła Eve.

Matt odpiął spadochron i uśmiechnął się szeroko.

- Aniele, zmartwiłabyś się? A więc jednak ci na mnie zależy.

- Oczywiście, że mi zależy! - wrzasnęła Eve ze złością.

- Dlaczego? - zapytał, podchodząc do Eve i ujmując jej twarz w swe dłonie.

- Bo mi zależy.

Zakłopotana Irish chrząknęła:

- Przepraszam was, ale spieszę się do domu.

- Odpowiedz - nalegał Matt.

- Bo cię kocham - szepnęła Eve.

Matt wydał okrzyk radości, uniósł Eve wysoko w ramionach i zapytał:

- A więc zgodzisz się za mnie wyjść?

- Być może, ale najpierw musimy sobie wyjaśnić kilka spraw.

- To zacznijmy od razu - zaproponował Matt, wnosząc Eve do domu.

Natychmiast otoczyły ich wszystkie zwierzęta, którym udzielił się nastrój podniecenia. Nawet Pansy wychyliła nos spod kanapy, a Charlie nastroszył wąsy.

- L'amour, l'amour, l'amour - zaśpiewał słodko Caruso.

- Sam bym tego lepiej nie wyraził - stwierdził ze śmiechem Matt, obsypując Eve pocałunkami.

EPILOG

- Denerwujesz się? - zapytał Jackson brata.

- Skąd wiesz? - spytał nieco nieprzytomnie Matt.

- Bez przerwy przestępujesz z nogi na nogę, a poza tym poprawiałeś tę muszkę chyba z tysiąc razy. I znowu jest przekrzywiona.

Matt jęknął cicho i po raz kolejny stanął przed wielkim lustrem.

- Nigdy nie potrafiłem wiązać tego cholerstwa. I gdzie, do diabła, podziewa się Kyle?

- Wezwano go do nagłego przypadku, ale już jest w drodze. Nie martw się, na pewno zdąży na czas.

- To samo mówiłeś mi na temat Smitha - warknął poirytowany Matt. - Co mu się tym razem przytrafiło?

- Dziadek powiedział mi, że Smith wylądował w szpitalu, bo znów sobie coś złamał.

- Albo nasz kuzyn jest wyjątkową oferą, albo użył tej wymówki, by nie wkładać smokingu.

Jackson roześmiał się.

- Może masz i rację. Smith nienawidzi takich imprez, źle się czuje na towarzyskich spędach. Pozwól, ja ci to zawiążę.

- Czy zadzwoniłeś wreszcie do swojej pani psycholog?

- Do Olivii? Tak. Nigdzie nie mogę jej złapać.

- Szkoda. Czy Irish nie mogłaby ci pomóc?

Jackson potrząsnął głową.

- Nie, ale nie mam zamiaru tak łatwo się poddawać. To wyjątkowa kobieta.

- Jeżeli tak ci na niej zależy, nie zrażaj się przeciwnościami, tylko walcz.

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Chłopcy, jesteście już gotowi? - W drzwiach stanął Kyle.

- Gdzie ty się, do diabła, podziewałeś?! - krzyknął Matt.

- Oddawałem się swemu ulubionemu zajęciu, czyli zakładaniu szwów. Pewien dzieciak spadł z drzewa i paskudnie rozciął sobie kolano. Przyniosłem kwiaty.

Kyle z uśmiechem włożył do butonierki Matta i Jacksona pąki róż.

- Denerwujesz się? - zapytała Irish siostrę, upinając na jej głowie welon.

- Trochę - przyznała Eve. - Ale, szczerze mówiąc, myślałam, że będzie o wiele gorzej.

- Przepięknie wyglądasz - wtrąciła się Nancy Brazil. - Wprost promieniejesz szczęściem. Nic dziwnego, skoro zaraz poślubisz bogatego, przystojnego i uwielbiającego cię mężczyznę. No i jeszcze miesiąc miodowy na Morzu Śródziemnym! Trochę ci zazdroszczę.

- Ty też znajdziesz tego jedyne, Nancy - zapewniła ją z uśmiechem Eve.

Nancy pociągnęła nosem i mocniej przycisnęła do piersi bukiet.

- Ja? Nic podobnego! Dawno zrezygnowałam z małżeństwa. Potrafię być szczęśliwa i bez mężczyzny. Postanowiłam skupić się na karierze zawodowej. Otworzę własną agencję i choćbym miała sobie urobić ręce po łokcie, zdobędę fortunę.

Eve bardzo zaprzyjaźniła się z Nancy. Wiedziała, że pod maską pozornej nonszalancji kryje się czuła i romantyczna dusza. Eve i Irish uśmiechnęły się i mrugnęły do siebie. Po raz pierwszy Eve doszła do wniosku, że stała się bardzo podobna do siostry. Może nie jest tak piękna jak Irish, ale też niczego jej nie brakowało.

Do diabła, Eve! skarciła się w duchu. Jesteś atrakcyjną dziewczyną, bo tak powiedział Matt, a ściślej mówiąc, powtarzał to codziennie. Piękna jak anioł i seksowna jak diabli. Istota, którą zesłały mu same niebiosy.

Być może sprawił to wspaniały klimat Teksasu, lecz Eve od chwili przyjazdu do Dallas bardzo wypiękniała. Patrząc w lustro, nie dostrzegła już spłoszonej i niezręcznej panny Ellison. Stała się pewną swojej urody kobietą.

Stojąc przy ołtarzu kościoła w Dallas, Matt czuł się trochę nieswojo. Smoking uwierał go we wszystkich możliwych miejscach, cierpiał też niezwykle katusze z powodu nowiusieńkich i twardych butów. I nagle ujrzał anioła. Najprawdziwsze nieziemskie zjawisko. Nie mógł oderwać oczu od Eve, która płynęła do ołtarza prowadzona przez ojca. Tej cudownej kobiecie brakowało tylko skrzydeł.

Wyglądała zjawiskowo w białej jedwabnej sukni ozdobionej koronkami. Naszyjnik z prawdziwych pereł podkreślał smukłość szyi panny młodej i dodawał blasku jej cerze. Gdy Eve spojrzała na Matta swymi łagodnymi, błękitnymi oczyma, jego serce przeppełniło się czułością.

To moja kobieta, pomyślał z dumą.

Pełne miłości spojrzenie Matta sprawiło, że zdenerwowanie Eve ulotniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Gdy szła do ołtarza, czuła się piękna jak anioł i leciutka jak chmurka. Kochała i była kochana. Spotkało ją szczęście, o jakim nie ważyła się nawet marzyć.

Gdy Matt ujął jej dłoń i zaczęli składać przysięgę małżeńską, Eve poczuła, że wypowiedane słowa płyną z głębi jej duszy. Była pewna, że będą się kochać i szanować aż do końca swych ziemskich dni. Matt był jej przeznaczony, a ona jemu.

Wreszcie ksiądz powiedział, że Matt może pocałować swoją żonę. Para nowożeńców złączyła się w tak namiętym uścisku, że wśród tłumu zgromadzonych gości rozległy się głośne śmiechy. Eve zupełnie tym się nie przejęła i przywarła jeszcze mocniej do męża.

Gdy wychodzili z kościoła, Eve kątem oka zauważyła dziadka Pete'a. Starszy pan mrugnął porozumiewawczo i uniósł w górę dwa palce.

Eve z trudem stłumiła śmiech. Nie potrzebowała dwóch milionów, które Pete obiecał jej za poślubienie któregoś z jego wnuków. Dostała w prezencie coś o wiele cenniejszego: miłość.